STANISŁAW WASYLEWSKI

DUCISSA CUNEGUNDIS

POWIEŚĆ Z WIEKU TRZYNASTEGO

LWÓW · WARSZAWA · KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAR. IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1 9 2 3

DUCISSA CUNEGUNDIS

STANISŁAWA WASYLEWSKIEGO:

U KSIĘŻNEJ PANI, wydanie szóste, Lwów-Poznań, 1922.
NA DWORZE KRÓLA STASIA, wydanie drugie, Lwów-Poznań, 1921.
W SREBRNYM DWORKU Z MODRZEWIA, Lwów, 1918 (wyczerpane).
ROMANS PRABABKI, wydanie drugie (w druku).
O MIŁOŚCI ROMANTYCZNEJ, Lwów-Poznań, 1921.
SZAMBELANOWA Z WALEWIC, Lwów-Poznań, 1921.
KLASZTOR I KOBIETA, studjum z dziejów średniowiecza (w druku).

STANISŁAW WASYLEWSKI

DUCISSA CUNEGUNDIS

POWIEŚĆ Z WIEKU TRZYNASTEGO

LWÓW-WARSZAWA-KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAR. IMIENIA OSSOLIŃSKICH
WARSZAWA, KSIĘGARNIA WŁASNA, UL. NOWY ŚWIAT L. 69
KRAKÓW, FILJA WYDAWNICTWA, ULICA ŚW. ANNY L. 11
POZNAŃ, SKŁAD GŁÓWNY, KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA
WILNO, KSIĘGARNIA J. ZAWADZKIEGO, ULICA WIELKA 27

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE
pod zarządem Józefa Ziembińskiego.

Gdy ją przez góry do Polski wieźli, płakała. Dawał jej Mikulasz soku hanyżowego wąchać, nie pomógł. Więc przyniósł do kolaski kostek z drzewa bukszpanowego, iżby bawiąc się niemi poznawała litery, nie chciała. Wtuliła się w cwelichowe poduchny i skryta między swe dworki, zawodziła.

Pan Klimek Gryfit z panem Januszem, wojewodą, którzy ją zdrową dowieźć mieli do Krakowa, frasowali się bardzo, wszem wobec nie wiedzący jak do tej małej niewiastki gadać. Nie miała chudzinka wyżej dwunastu wiosen, a oni strachali się o nią więcej, niż o te bryki, srebrem i perłami ładowne, które z nimi jechały wespół. Wierę prawił im król Bela w Budzyniu, żeby na dziewkę baczny pozór mieli. Maluśka jest — powiadał — i nietęgich kosteczek, więc jej przed czasem nie kładźcie w łożnicę księciu swemu,

póki lat swoich dziewczyńskich nie dojdzie. I to jeszcze dołożył: Wolej mi było wienić ją jakiemu królu szanownemu, niżli tym panom Piastom krakowskim, ale niechta!...

Zaś pan Janusz wojewoda coraz łypał okiem na zawiesistą kolaskę. To z Mikulaszem ochmistrzem księżniczki radził, to na pokładzie stawał, pozierając do wnętrza. A kiedy widział, że ta dzieweczka smęci się i głośno skwirczy, czuchrał mocno swe gęste kędzierze, rozkazując dworkom, żeby ją ciszyły. Niechaj jej prawią albo o białej wodzie, nad którą gdy staną, ujrzą dworzyszcze śliczne i oprawne, albo o pawłokach księżny Grzymichy, jeszcze cieńszych niżli te, które są u pani Salomy. Prawiły, ale nie słuchała.

Więc może zbójców kosmatych stracha się, którzy po górach chodzą? Już chciał pan Klimek szarpać psami leśne ludzie przydrożne, albo i główska im nawet ścinać, aliści dworki wyznały Mikulaszowi, gdy je dobrze nacisnął, że nie z przyczyny zbójców płacze Cunegundis, ani gór skalistych, jeno li z przyczyny jaszczurczego oka.

Jakieby to było jaszczurcze oko? — pytał zaraz ciekaw Klimek ochmistrza Mikulasza. Lecz nie chciał wyznać. Więc go pan Klimek sfukał

bardzo, obiecując, że go dżgnie. Wtedy Mikulasz:

— *Sauros* — prawi — jaszczurka, *omma* oko się wykłada, zaś wyście są Sauromaci. Stąd nasza najmilsza księżniczka stracha się, nie wiedzący, żali może ten Bolko ma jaszczurcze ślepia.

Już go miał pan Klimek dżgnąć gdziekoli za te słówka jadowite, lecz z Boskiego wejrzenia ostał się. I tyle jeno burknął, że po piąci dniach, gdy z tych leśnych wertepów w doły zjadą, obaczy.

A wtedy Mikulasz pytał pana Klimka, dokądby jechali, czyli na krakowski dworzec czy do Sędomierza? A także na którym z tych zamków siedzi teraz pani Grzymicha z synkiem swoim Bolkiem, księciem krakowskim i sędomierskim? Pan Klimek nie rzekł nic, bo nie wiedział co rzec i zaciął się, mówiąc. Po prawdzie bowiem nie siedzieli oni ani w Krakowie ani w Sędomierzu, jeno w czystej puszczy i to ze strachem wielkim. Bo było tak... Po Leszku białym, co go w Gąsawicach zadusili, została pani Grzymicha z Bolkiem, który do księstwa krakowskiego najstarsze prawo miał. Ale ksiądz Konrad mazowiecki tego nie chciał, przeto, że zdradnik nędzny i męsal faleszny jest. Ciągle im przegróżki śle i z woj-

skiem następuje, powiadając, że on prawo ma i żeby się do Krakowa nie ważyli. I dlatego pani Grzymicha, jakkoli każe oddawna wołać się księżną całej Polski i pieczęcie na to są, przecież w puszczy siedzi z dworem i synkiem swoim. I teraz nawet pan Klimek bał się, żeby ich gdzie po drodze księcia Konradowi zbójcy nie opadli i kazał rotom trzymać kusze w napięciu.

Jechali długo przez góry lesiste, a dziesięć łańcuchmi spiętych brankardów toczyło się za nimi, w których było grzywien srebrnych tysiąc razy po czterdzieści i jeszcze więcej.

Po pięciu dniach, gdy dobrze zjechali w doły, Sącz, Czchów i Wojnicz za sobą zostawiwszy, już im tylko siedmiu stajań do Bolkowego schowku brakło. A wtedy dało się widzieć wielkie i kosztowne zbiegowisko! Którzy tylko są w krakowskiej ziemi nobilowie, wszyscy na koń siedli, którzy tylko Boga chwalą prałaci i opaci, wszyscy w szyku ozdobnym wyjechali im naprzeciw. Baronowie w złotych frendzlach i rycerze w sutych zbrojach i księcia biskupowy orszak w czerwieni. Ci, co zbawieni będą i ci, co potępieni, opasłe mnichy, swawolne wiły oraz ćma pospolitego luda przystanęła, gapiący się skroś równi, na których roz-

bito okoły. Zaś w tym okole, który z dartego jedwabiu był, posiadła się na kruszcowym stołku księżna Grzymicha, po Leszku białym, co go zadusili, wdowa. Z każdego ucha zwisa jej śliwa perlista (miała ich skrzynię całą, którą wielmożny ksiądz Konrad zrabował), podwikę wdowią przykryła kołpakiem sobolim, szyję sznurami korali, a twarz i pojrzenie smętkiem bolesnym. Opodal grzymiszynego stołka przystanął jeden chudy ociec eremita, który wcale nie miał rozkosznego przyrodzenia, ani złotości nijakich na sobie, jeno stał między nimi potulen i bosonóż, w sznurze węźlistym na kościstych biodrach. Wołali go imieniem Przebor. Lica miał szare, jakby pieprzem nasypane, a postać mizerną, wysechłą na skwarczek i od męki podrapaną. Z tym oćcem wiodła pani Grzymicha ciche i zawzięte pogwarki. Najpierwej zapytała, czyli sklął dziś w swych modłach księcia Konrada, tego djabelskiego włodarza, jenże ją skrzywdził, ze skarbów wyzuł i w kaźń haniebną posadził. Już od dwu niedziel ociec Przebor wody do ust nie bierze i co noc pas z jigłami ostremi wdziewa, a to przeto, by Pan Bóg skazał tego zbójcę.

— A jako kląłeś go? — pospytała.

— Kląłem, żeby był od Trójcy św. oddzie-

lony i do mocy piekielnych przyłączony i żeby w nim wątróbsko poczerniało.

— A syny jego kląłeś?

— Aż do ósmego pokolenia kląłem. Żeby byli od Trójcy św. oddzieleni i do mocy piekielnych przyłączeni...

— Małoć jeszcze — skrzykła Grzymicha.

I powstawszy ze stołka dołożyła:

— Żeby czopka w gardle dostali! Żeby im krtań zaśmierdziała! Żeby im na twarzysku jadowita trędowizna wyrosła!

— Amen — rzekł ociec Przebor i pochylił nisko bezwłosą głowę.

Pan Klimek z Januszem weszli najpierw do okołu i pokłon oddawszy, świadczą, że oboje cało dowieźli: tak dziewkę jak i srebro, którego sprawiedliwość niech odważą mincarze. Potem kiwali na Mikulasza. Ten, wszedłszy, upadł zaraz na kolana i złożył do stóp Grzymichy pisanie od ducissy Salomy, że w Slawonji zdrowa żywie ze swoim Kalmanem. Odpowiedziała Grzymicha, że rada jest. I pytała, co jeszcze. Więc Mikulasz uchylił opony i wiódł do okołu małe, ciasno okutane biedactwo. Powstała zaraz Grzymicha z kruszcowego stołka i wszyscy rozgarniali długo zasłony i skóry,

aż z nich wyjrzała dzieweczka, krucha i śniada, wielce drogą zabiedzona. Chybotała się jak czyżyk w potrzasku. Patrzyła o ziem i nie mówiła nic.

A wtedy pan Klimek z Januszem dobyli pergaminów z pod pazuchy i dawali Twardosławowi, z których ten, złamawszy węgrzyńskie pieczęcie, czytał głośno, jako wielki król Bela rad jest dziecinę swoją samotrzecią Piastom w stadło oddać i oddaje. Odpowiedziała zaraz Grzymicha, że ma wielką chęć ku niej i kazała wołać synka swego.

Szukali go długo, bo gdzieś po dworu biegał. A kiedy przybieżał nareszcie, uczynił się wielki gwałt w całym okole. Bo miał sukienkę jaksamitową skroś rozdartą. Zaraz mu księżna dała z wrzaskiem jeden pogębek. Zaś bryzy na kabacie miał tłuczem zwalane. Więc obaczywszy to księżna, dała mu drugi pogębek. W ręku dzierżył kawał smyczy, a cudne, barwione trzewiki utytłał błockiem docna.

Więc księżna:

— Ejże, brzydaku! Gdzieżeś się ubabrał?

A on, że właśnie ścierwo gończakom dawali, więc na to pozierał.

Tu księżna:

— Wolej ty zawsze, tam siedzisz, gdzie psia mać, niżli tu, gdzie twoja rodzona. Kędyżeś podział, pośmieciu, pągwicz od kabata srebrnolity?

A on:

— Psi mają go w zębiskach, bo mi odgryzły.

Więc księżna:

— Patrzajże kto jest i pokłoń się!

A Bolko:

— Żali nie słyszycie jak tam psi niedźwiedzia głoszą?

I precz wybiegł z okołu, nie bacząc na strojną i wielmożną ciżbę, ani na dziewkę węgrzyńską, ani na dalsze pogębki, które mu głośno mać obiecowała. Zaś bosonogi ociec Przebor eremita powiadał, jako wszystko jest stąd, iże chłopaka dominikanie chrzcili, przeto mu Pan Bóg jeszcze głupości nie odpuścił.

Wtedy chybocąca się dzieweczka podniosła oczki na biegącego i ujrzała, że nijakich jaszczurczych ślepiów nie ma, lecz owszem ludzkie chabrowe, a jeno psim powiatrem brzydko cały cuchnie. Chudy ociec jął teraz pytać ją zcicha o to i owo. A najpierw — czyli polską pojmuje mowę, czyli tylko węgrzyńską, a potem, żali słyszała o tym Panu naszym, którego świat, ziemia i morze, dosyć na-

chwalić nie może. Dzieweczka wstydała się ust rozewrzeć, więc za nią prawił Mikulasz, że u żełwicy swej, Leszka białego córy, Salomy, uczyła się mowy polskiej, a też coś nie coś wie już o Bogu w Trójcy jedynym.

Poszła pani Grzymicha pilnować, czyli dobrze srebro ważą, a oni wszyscy jechali w zawiesistych kolaskach, na dworzyszcze wawelskie, kędy już poprzód posłano cztery roty kopijników. Bo rozkazała księżna tak, że niechajby i w bitewnym szyku stanąć przyszło — lub morawskich kopijników nająć, to ślubiny Bolka z Cunegundą na krakowskim zamku dokonać się muszą.

Od przysieni aż po wieżowe stołpce moszczono, co się ino dało, izbę wawelską, jakby na wielkie święto i jeszcze więcej. Ale niebardzo się dało, bo kasztel stareńki był i okrutnie spaćkany. Braciszkowie z Tyńca malowali co nieco pendzelkami brudny strop modrzewiowy w ptaszyska różne a barwiste, zdun kominy przewiercał, żeby duch był dobry dla gości, a ćma pachołów biegała tam i sam, rozwieszając na zakopconych belkach cudne kobierce, na których skrzyły się gryfy z nitek srebrnych i pantery w dzikich skrętach, jigłą wyszywane. Potem kładli na stołach złote i srebrne puhary, co z nich jeszcze król Krzywoust pijał i kryli suknem tarczyny biesiadne u ścian.

W pośrodku świetlicy, która jedna największa była, stawiano łożnicę małżeńską. Dwunaście miękuśkich matrasów dali na spód, bo tyle lat

miała Cunegundis, a czterzynaście poduchen kładli na wierzch, bo czterzynaście lat było Bolkowi. Potem opony i połogi, wszystkie z tafty białej, nareszcie cieniuśką pierzynę przynieśli ze złotemi sznurami, którą księżna Grzymicha własnorącz dobyła z swej wyprawnej gierady. Inszy zasię z dworaków pognali do biskupa, prosząc, by zwolił jakie świątobliwe piszczele, czyto ze św. Benedykta kosteczkę, lub św. Szczepka — położyć u wezgłowi, bo to odczyni uroki i zdrowia przyda młodożeńcom. Ale ich biskup sfukał i przepędził.

Podczas dworki ścielące powiadały sobie o księżniczce. Jako jest pokorna w chodzeniu a w lędźwiach chybka, zaś głos ma anielski i pieściwy. Którego poprzód nikt tu nie słyszał, aż ninie pierwszy raz w okrągłym kościele.

Bo gdy samowtór z Bolkiem uklękli przy ołtarzu, iżby sobie ślubili, spytał ją biskup:

— Czyli sobie podobasz tego Bolka?

A ona cichutko i ślicznie, jak ptaszyna polna:

— Podobam go sobie.

Więc biskup dalej do niej:

— Czyli go zachowasz aż do śmierci?

A ona cichutko i ślicznie, jak ptaszyna polna:

— Zachowam go aż do śmierci.

Gdy braciszkowie to malowanie skończyli a zdun z komina zlazł, rzucono kłody wielkie na palenisko. Ogień buchnął tęgopłomienny i rozpędził precz wieczorne mroki świetlicy. Skroś całej góry wawelskiej grały trąby i kotły. Którzy tylko są w krakowskiej ziemi nobilowie, wszyscy szli w rzędzie na dworzec, którzy Boga jedynego chwałą prałaci i opaci, z świecą gorejącą w ręku, przystanęli, czekając w izbach. A kopijnicy z Moraw wzięci stali wedle góry i u bram, warując bacznie, czyli jakie Konradowe pomiotła pod miasto się nie podkradają.

Siadła Grzymicha na kruszcowym stołku, i ksiądz biskup krakowski na sukiennym stołku i wojewodowie na gołych pniaczkach. Wszyscy wokół łożnicy, która była na pośrodku.

Przywiedziono Bolka i przystanął z prawej strony łożnicy. Miał na sobie nową kurtę z jaksamitu, kołnierz z frendzlami, soboli kołpak z kitą i ciżmy barwione.

Przywiedziono Cunegundis i przystanęła z lewej strony łożnicy. Była na twarzy subtelna i blada, miała kieckę bielutką, katankę dziewczyńską i wianuszek na głowie z niejakiego kwiecia.

Teraz mówią Bolkowi, żeby do tej żony swej, ninie jeszcze dziewki, przystąpił, ułapił ją za ten wianek, co go na głowie ma, i zdjął z głowy. Wstydził się Bolko baronów i nie wiedział, jakby to. Więc mu biskup dopomógł i swoją ręką wianek zdjął. Rozwiały się wraz dziecięce kosy i stanęła wszem wobec dziewczynka mała, przetowłosa, bez pętlików i harpandów na główce. Wraz przybiegły dworki i nuże rozdziewać ją z ślubnych stroi i kiecek szelestnych, aż niebogę, w samej jednej koszulinie zostawiły.

Rycerze zasię zdziewali przybiory z Bolka. Jeden wziął mu kurtę jaksamitową, drugi kołnierz z frendzlami, trzeci ciżmy barwione, tak że chłopiąstek w samym spodnim pozostał pasie.

Teraz najstarszy biskup czytał z księgi zaklęcia i kropił tak ich dwoje, jako łoże ślubne, z którego djabła wypędzał. A gdy skończył, trąby zagrały.

Wzięli panowie na ręce pannę Cunegundis i cisnęli ją w łożnicę z lewej strony, zaś dworki chwyciły Bolka za ręce i nogi, który nie krzyczał nic, bo miał obiecywane, że za to z biskupem na łowy o świcie pojedzie.

Położyli go rządkiem przy dziewczynie rów-

niutko i nakryli oboje pierzynką, a kapę złotogłową dali na wierzch.

Aliści ledwie kapę przykryto, podnieśli węgrzyńscy panowie krzyk do Grzymichy, żeby nie trzymać ich nadto, bo nie ma jeszcze dziewka lat dwunastu, i przypominali, co król Bela w pergaminach pisał.

Więc gdy czasu nieco minęło, odkryli panowie kapę i pierzynkę. Bolko co rychlej uciekał precz, a Cunegundis poszła do Grzymichy, która jej wdziałą na główkę ruszycę, zaś biskup wszem wobec rzekł, iż ci oboje przed Bogiem i ludźmi są już małżonkowie, a ona niewiasta.

Siedm dni i więcej trwały igry, tańce i gonitwy po lasach między panami wesołymi, po których stara księżna zawołała oćca Przebora, Mikulasza i Przybysława i rzekła Przeborowi: będziesz je uczył wiary w Boga, a Przybysławowi: będziesz je uczył pisma, a Mikulaszowi: będziesz je uczył królewskiego obrządku.

Więc magister Przybysław dał zaraz moczyć rózgi w kadziach, kańczugi rzemienne na chłopca, a na dziewkę batożki niejakie, dla panieńskiej skórki odpowiednie.

Potem rozkazał małżonkom kucnąć na ziemi

i baczny pozór dawać. A sam, pozierając co najsrożej, dobył z almaryi księgę zamczystą i czytał z niej powoli:

— *December, Barba, Nico, concep et alma Lucia.*

I to im każe mówić za sobą zwolna, nie raz, ale wiele razy. A potem, żeby piąstki wypięli w górę. Wypięła rączyny panna Cunegundis, wypiął i Bolko, owszejki chmurnie.

A Przybysław:

— *December* jest głosek trzy, a *Barba*, jest głoska czwarta, co się tak wykłada: 4-ty dzień grudnia miesiąca jest świątek Barbary panny. *Nico* jest głoska od początku szósta, co się znów wykłada, iż 6-ty dzień grudnia miesiąca jest świątek św. Mikołaja. *Concep* zasię jest głoska od początku ósma, *conceptio* znaczy poczęcie, tedy wiedzcie: że w 8-mym dniu miesiąca grudniowego święcim Poczęcie *Beatissimae V. Mariae.*

Teraz rzekł Przybysław do Cunegundis, żeby mu na palcach rozliczyła, który dzień grudnia jest św. Łucji? A ona nie rozumiała nic, więc zaraz Przybysław dał jej trzynaście rózeg po lędźwiach na pamiątkę, że 13-ty dzionek grudnia jest dniem patronki Łucji.

Podczas Bolko naśmiewał się, że Cunegundis tak cienko piska, gdy biją, więc mu magister wyliczył plag rzemiennych ośm, iżby pamiętał, kiedy Poczęcie.

Rada była małżonka pośmiać się z niego wzajemnie, ale nie mogła, boć od tych rózg pocierpła bardzo w przyrodzeniu.

Mikulasz zasię uczył niewiastkę królewskiego obrządku oraz pokroju dziewczyńskiego:

Że gdy ją nobil jaki pozdrowi, niechaj głową skinie, a innemu nie.

Że idąc przedsię, niech ani w prawo ani w lewo nie poziera, lecz patrzy, jako sokół w gnieździe.

A przy stole siedząca, niech lewy łokieć zegnie. I odtychmiast nóżek na się nie zakłada.

A koli śpiewa, żeby żaden pachołek jaki nie słyszał. A ku słowu każdemu, które do niej mówią, niech się wstydzi bardzo.

Tako albowiem powiada św. Jeronimus: Bądź rzecz dziewczyńska dobrze opatrzona i smierna.

Bolkowi tyle jeno rzekł, żeby małżonki swej za grzywę nie chytał i o leda co w podołek nie kopał. A potem prał go kańczugiem, powiadając, że jest gruby i leśny.

O południu dnia każdego pięli się oboje

po drabinie, stękając bardzo, do stołpca na wieży wysokiej, kędy była mała izdebka oćca Przebora. Siedział onci bosonóż na mieszku ze słomy, a ręce oboje miał w łokciach zgięte i na kłódkę zamknione, żeby się umartwiał. Zaś opasany był rzemieniem, w którym półtorasta jigieł ostrych tkwiło. Zesechł był już całkiem na skwarczek, bo tylko jabłka polne jadał, sypiał zasię na starych wrotach, a pod głowę bezwłosą mieszek słomy kładł. Tak każdy dzień i noc w męczeństwie trawił.

Kiedy Cunegundis stanęła w stołpie, pozierając, rzekł jej cichym głosem ociec Przebor, że przódzi będzie obiadał, więc aby mu z pułapa jedno jabłko polne dała do zamknionej na kłódkę ręki, lecz niechaj je wpierw na troje przekąsi, a to na pamiątkę Trójcy świętej. A potem nauczał ich, że teraz o czarcie wiedzieć mają, czyli o djablisku.

Bo jak człowiek na źwirza obierze łowcze sposobi, tak szatan na człowieka. Jest to książę piekielne, wszędy obecne i panujące nad nami. Aliści niezawsze go obaczysz. Jest on postaci ludzkiej, jeno kosmaty. Ogon ma długi, sucherlawy, jakby u szczura, a ucha maluśkie, kieby lelek. Razem zaś jakby smoka z małpiskiem po-

łączył. Gdzieby zaś plecki być miały, tam djabeł nie ma nic. Do pasa światłem świeci, od pasa smrodem kurzy.

Gdy Cunegundis bardzo się strachała tej powiastki, Bolkowi owszem oczka pałały i pytał:

— A ślepia jakieby miał?

— Ślepia ma jak u wilka, ale kaprawe i ciekące, a szczeć na brywiach krzaczystą, świńską, albo jeszcze gorszą.

— A pazury jakie też ma?

— Pazury ma jak u ptaka dzikiego, ale wszawe, a kopyta jak u kozła, ale smołowe.

Więc przemyśliwał Bolko nad tem, jakimby psem takiego źwirza gonić, lisim gończakiem, czyli niedźwiedzim ogarem? I pytał dalej:

— A jaki wielki ten djablisko jest?

— Taki wielki, że kiedy zachce, to na siedm mil ramieniem posięgnie, lub indziej taki maluśki, że na samym jednym włoseczku twoim usiędzie i siedzi!

— A jaką strzałą go urazi?

— Nijaką, świdrogłowie, nijaką, bo się go nie imają!

— A gdybym strzałę ciemierem trującym namazał?

— Gdybyś ją niewiną serca namazał, to rychlej!

Już się dalej Bolko nie pytał, bo nie pojmował nic. Jeno chyłkiem uciekł ze stołpca i do psiarczyków pognał, żeby z nimi w lesie szukać, czy gdzie takiego nie ujrzy.

Zaś ociec Przebor prawił do niewiastki dalej:

Że nie wystarczy tylko warować się szatana. Bo to jest najpierwsze przykazanie, aby z nim wojnę zawdy mieć, i hańbić i szkodować, gdziekoli można. A ktoby z czartem piekielnym nie wojował, grzeszy! Niewiastki zasię, to uliczka, po której djąbeł do człowieka idzie, najbardziej w nich sobie upodobał, rad w każdą włazi i figluje.

Więc Cunegundis smęciła się bardzo, że ma kształt białogłowski, a ociec Przebor prawił dalej:

— Największym ogniem fuka czart na te białogłowy, które z wielkiego pokolenia są.

To prawiąc, znagła polękał się bardzo i cały odmienił na twarzy. Jął mocno chybotać rękoma, które miał w kłódkach zamknione, i do głowy je podnosił i za głowę się ułapiał, krzyczący:

— Eja, eja, dziewko nieszczęsna! Wiesz li co cię czeka? Jakże się ostoisz? Chyba ty się nigdy

z paszczęk smokowych nie wydrzesz i potępiona będziesz na wieki wieków amen.

Mówiąc, płakał i skowyczał.

Słysząca, że ociec skowyczy, płakała dziewka także. I płakali razem ociec Przebor z panną Cunegundis.

Potem prawił dalej:

— Wiesz li albowiem, czyjaś ty wnuka?

Powiedziała, że wie. Owej babuleńki starej, księżny Jadwigi, opacichy w Trzebnicy.

— A wiesz li, czyjaś jeszcze?

Powiedziała, że także nieboszczki królowej węgrzyńskiej Helżbiety, która w Niemcach żyła i umarła.

— Toli pojmiesz teraz. Obie te prababy twoje święte są, Helżbietę już pan papież między takowe zaliczył, a Hedvigis ducissa żyje w Trzebnicy, w zapachu świętym dotychmiast. Na nie obie czart najwięcej złości ma. Całe piekło przeciwek im skwierczy. A tyś ich wnuka! Na ciebie tedy nieszczęsną, złość swoją wypną! Mordować cię będą wszechwszędy: stojącą, siedzącą i śpiącą. Do złego przynaglą, w dobrych postąpieniach przeszkodzą, byleby cię tylko wiecznemu ogniu przysądzili!!!

Cunegundis bałuszyła szeroko przerażone oczka.

— Czart, bujny król, będzie powszędy za tobą chodził samowtór, czyhający. Ujrzysz go w kapturze czarnym i w jakach pozłocistych. Jako pies przyleci ujadający, jako świegotarz zgrabny i wiła. Będzie ci, szkodźca ohydny, gadki śmieszne prawił i do wesela ciągał.

Gorzej jeszcze zaczęła ryczeć biedna Cunegundis, a ociec Przebor ustał i tak groźnie na nią pozierał, jakby już czarta w jej wnętrzu widział.

A wtędy świerczek czyli ziemny konik zaczął piskać w bierzmie stołpca. Więc ociec:

— Toli i w takiego świerczka wleźć czart umie i może.

Potem uczynił krzyż ręką w kłódkach zamknioną i zaraz świerczek już nie piskał więcej.

Lecz opadł był całkiem z sił ten bolesny ociec i tylko zcicha rzecz kończył:

— Waruj się, dzieweczko, djablisków, którzy wszyscy spiknęli się na twą cnotkę maluśką. Z pomsty, żeś tamtych wnuka, że masz dwie babule przeczyste, żeś z wielkiego pokolenia jest.

Więc Cunegundis w lęku wielkim pytała, jak

tego czarta warować się i jak go precz pędzić od siebie. Żeby jej rzekł, gadając.

Wtedy eremita jął patrzeć na nią długo. I widział, że aczkoli ma na głowie czepiec białogłowski, jeszczeć na niej dziewczyńskiego kształtu wcale nie poznać.

Tedy rzekł:

— Jeszcze czas twój nie nadszedł.

I uczynił nad nią znamię krzyża.

To księstwo oboje krakowskie i sędomierskie wagi w świecie nie miało przeto, iż źle siedział książę Bolko na swym majestacie. Jak przódzi tak i ninie Konradus w siatce ich trzymał i rotami swemi, których miał więcej, nękał lściwie, bezprzestannie... Ledwie ino trochę odpoczęła pani Grzymicha z małżonkami na krakowskim dworcu, a już przychodziło im cichcem chować się w skrytki leśne, gdyby prostym karwatom jakim. Mieli tam kasztel skalny mocny, jeden i drugi do tego gotowy. Gdyż znowu Konradowe roty miasta nieco odstąpiły, wracali na Wawel w niepewności. Na tych haniebnych rozjazdach pani Grzymicha z ślewą swoją młodziuchną tchnienia spokojnego nie miała. I długo tak było. Opiąć Bolko rad temu był i cale do Krakowa nie kwapił się, odprawując tam w głębokości puszcz łowy turze i niedźwiedzie. Insze rzeczy swe, tak

rzecz książęcą jak i małżeńską, za nic trzymał. Nabrał już podczas wzroku lisowatego i siły w miąższach, a z dziecek już był wyszedł dawno. Macierzy i żonce niebardzo widzieć się dawał, przedsię po zasiadkach koczujący, na leśnej zielinie byle jak. I przeto jeszcze od Cunegundy stronił, gdyż go do ksiąg wabiła, nieprzestanna i zapalista w nauce. Oprócz na igrach niektórych bieżał czas jej dziewczyński. Łasiczkę białą hołubiła sobie i liska swoistego, w kości grywała z dworkami, żadnej złej sprawy nieświadoma.

Sama jedna pani Grzymicha cierpiała to pogorszenie. Sama jedna, nie wiedząca, gdzieby mocy na mięsala płockiego poszukać.

Gdy do Więcława, czeskiego króla posyłała, śmiał się. Korony księstwa obojego chcecie? Niechże wam taką zduny krakowskie z gliny ulepią. W lasach, kędyż królujecie, inszej nie potrza.

Gdy do Beli, już teraz powinowatego króla węgrzyńskiego posyłała, miotał się. Albo się tam mocno posadzicie, albo precz dziewkę biorę! Nie przetom ją wienił, by waszego bronić!

Konradus zasię szumiał groźnie w Płocku, tak rozumiejący, że skoroż tylko Polska jedyna, z dzielnic złączona, wróci — on księciem osobnym pol-

skim będzie. I rozdzielone w siatkę swoją związe. Bowiem pierwszy jest, odkoli stary ksiądz Brodacz Henrykus zawarł sędziwe oczka. Naprzeciw wszystkim roty jego wystarczą, których rozdmuchnie, jako pancherze na wodzie. Brodaczowego syna w habit da! Brodacza członki śmierdzące w grobie splugawi! Bolka w psiarczyki, Grzymichę starą kaźniom wtórym odda! A ową młódkę węgrzyńską niech ta który synal jego ślubi, jeśli zachce. Jadźwingi leśne ma w podorędziu i krzyżowych wojów którzy go słuchają.

Zaczem do pani Grzymichy słał pewne pisane ohydy, prosząc, żeby się miłość wasza ze starych sińców lizała co prędzej, boć już nowotne kańczugi moczy na cię ksiądz opat w Sieciechowie!

W niemocnej złości darła pani Grzymicha swe przybiory pawłoczyste. I szarpała bardzo rozpuściałe kędziorki. I krzyczała gorzko, splatająca ręce:

— Ohej! na świecie ludzie! Wolej mi było w kraj ten piastowski nie jechać, gdzie jak hultajka nieosiadła żywię! Wolej mi było na ojcowej ostać miedzy, gdzieżem w sytości chleb włodarski jadła! Jażem docz Ingwarowa, jażem kniaziów łuckich dzietna potomkini, spumą w te ich

pyski arpadzkie, przemyślidzkie i konradowe pluć godna!

Na poczynania pani Grzymiszyne patrzyli bokiem panowie obojego księstwa, tak Sędomierczyki jak i Krakowianie, którzy chrześcijańscy byli i to dobrze rozumieli, iż w niewieściej duszce najsnadniej anioł piekielny skrycie mieszkać lubi. Któż bo zdradził Adaama niewinnego a Dawidka świętego? Któż Salomona mądrego, a Samsona mocnego? Zaprawdę nikt, jeno niewiasta. Bo gdyż człowieka serce jako szklenica jest, w której widać wszystko, inak serce niewiasty. Zły to kraj juści, jenż się babskiej ruszycy w jęctwo daje. Złe to księstwo, na swym przestole rejencichę cierpiące. Zaczem panowie na wiec tajemny zjechali, o którym żeby nie wiedziała Grzymicha. Zjechał Włodzimirus, krakowski woj, i Raciborowic Jakób z Wojciechem Stamposzycem, też stareńki, Krystyn Sulkowic z Niedźwiedzia, Ziemięta, Gryfity Klimka kum, też Gryfit z Ruszczy sam i Pakosław, woj sędomierski. I inszy, Konradusowi krzywi.

Stanowili, iże czas Grzymiszynego rozrządu dokonany być ma. Nie potrza nam ustawnej z Konradusem zwady o jedyną Polskę. Niech już baba w schowaniu te pieczęcie ostawi! Jako drzewiej,

bądź wszystko wedle rozrządu bywszego króla Krzywousta. Z tą rejencichą dworca krakowskiego nie strzymamy.

Mąci ona z Konradusem tam i sam, sprzeczek szuka, lecz gdzież mu podoła w niedostatku rot tak kopijnych, jak i łucznych? Ten zbójca mocniejszy jest. Niech li jeno Jazygów więcej podkupi, niech li Morawców za złoto najmie, a już przepadła Rusaczka i nasz miły Piastowic z nią.

A Ziemięta:

— Tak my na stolcu nagłego spadnięcia siedzimy. Bo znowuż kołują gadki nieco okropliwe, iż Mongoł abo Tatarzyn na kraj ten potrzebę ma i nastąpić chce na węgrzyńskie miedze poprzód, na halickie potem, na lackie wreszcie.

Tu Włodzimirus skrzyknie:

— A cóż my wtedy, przepadłe syny z babską rejencichą i z tym piędzimężykiem, księciem nieumiałym?!

I krzyczeli jedni, żeby wraz Bolka na osobnego księcia wołać. A drudzy, żeby go poprzód do tego przyuczyć.

— W złem ćwiczeniu jest!

— Chrobrości nie ma, rzemiosła nie zna!

— Na drogę waleczności nawieść go potrza.

— Żeby jeno bez macierskich poszeptów!

— A będzie miał nas wszystkich przeciw, gdyby tego nie chciał!

Tak oni radzili i stanowili, a potem onym trzem: panu Pakosławowi, Krystynowi i Wojciechowi Stamposzycowi stareńkiemu ortyl od wiecu dany był, żeby co nieco księciu rzekli. Którzy samotrzeć pojechali na ów kasztel leśny, kędy książę Bolko właśnie siedział przez macierzy i żonki. Że czas był dżdżowy i leśne mokradła broniły drogi w puszczę, więc zastali go doma na spoczywaniu. Zaraz Stamposzyc ortyle wyłożył. Że niedostojnie tak i osławę to młodemu księciu czyni. Nie ten jest władycki strój i nie ta zbroja! Nie ten sahajdak i tuła. Że czas, aby się z macierskiego jęctwa dobył i na stolcu sam siadł, ku czemu wolę ich wszystkich za sobą pałającą ma.

Bolko, rozparty na tarczynie, ciężko słuchał. To nurzał ręce w kędzierze, to spierał na nich oblicze dobre, słonecznym promykiem schłostane. Lub wodził przedsię spojrzeniem leniwem, pokojnem i jasnem, jakby modre jeziorko leśne. A gdyżby połajać chcieli, nie mogli, tak na nich tęsknie patrzył. Owszejki o inszem może dumał.

Stamposzyc dalej wiódł. Czasy drzewiejsze

wspominał, w których chłopiąstkiem z królem Mieszką Starym w cesarskie chodzili krainy. Kazimirusa wywodził, co go zwali Sprawiedliwym. I Bolkowego oćca, Białego Leszka, któremu niech Pan spoczywanie wieczne da. Hnet o wielmożnym majestacie wszech panów Piastów prawił, którzy mocnym rządem służby ludzkie szafowali. A gdy takie były przeddziadowie, czyli insze będą przewnukowie? Przyjść może rychło czas potrzeby gorącej. Więc niechby, o to proszą, książę w sędomierskie dworzyszcze jechał na przebitki, gdzie się spróbuje w mistrzostwie rot kuszniczych i skład bojowy pojmie.

Powstał Bolko i rzekł:

— Gdyż tak chcecie, uczynię! Ino mi tu poprzód tura dwunastego położyć trza!

„On jeden, widno, pomóc wam może, matuchno, niżaden inny, a on — orędownik wyborny!...

W jegoż imię proście, jemu włodarstwo dajcie i gorejącą kładźcie się przyczyną —

jemuż, które imię dziwne jest ninie po wszej ziemi —

jemuż, za którym bieżą chłopiąstkowie i panny w habitku szarym —

którego zakon najbliżej stolca niebieskiego posadzony, ponad Benedykta św. regułę wyrosły, od cystersów, norbertanów cudniejszy —

którego szkaplerz a pas węźlisty nad złotogłowy droższy, ważniejszy —

jemuż ofiarujcie się, matuchno, a wywiedzie was ninie z obierzy, jako drzewiej wywiódł z pohańbienia.

On jeden pomóc wam zdolen, włodarz Pana

Krzystowy, jenż pomarł w Asyżu, a żywie w sercach — FRANCISCUS“...

Takie pisanie na kościanej tablicy słała do pani Grzymichy z okrajów dalekich jej córa, ducissa Slawonji Salome, rzeczy matczynej sercem oddana. Alić rejencicha sędomierska nierada wysłuchała tych mętleń krętosłownych, tyle jeno pomyślawszy, że widno owe mnichy nowotne zakonu franciszkańskiego już ułapiły w więcierz duszkę jej córy i wedle swego czernidłem w tej tabliczce piszą. Wierę ona wcale w sercu swem nie pieściła tych włókitów bosych. Przybłąkało się owo i do niej z Pragi z listami świadomemi po prośbie. Dała im łońskiej wiosny prawo osiedli w swem księstwie (chocia pan opat tyniecki dotychczas o to krzyw), dała im też wygodę niejaką, ale patrzyła na tych ludków koso. Bo cóż? Ponad przyrodzone mniskie prawo żyją te Boże włóczęgi z żebranej paciary, a mielą gębą do tłuszczy, gdzie się zdarzy. Na nic nie dbają. Ni to na ziemię, ni na srebro łakome. Juści lepiej pojmowała pani Grzymicha regułkę czarnych, nigdy sytych brzuchaczy św. Benedykta, którzy miód z imbierem piją i gnaty wieprzkowe gryzą, juści chętniej ucha dawała braci norbertańskiej, chocia owym wycierusom pospo-

litym lada ochłap wystarczy. Przenajbardziej zasię temu się dziwowała: skąd ci żebrakowie w karpielach, pokorni, znagła rząd mocny dostali i gdziekoli nim szafują? Tochto wszechwszędy posłuch oni mają, porówni u papieskiego jako i cesarskiego stołu. Gdzieby nie zajrzeć, posięgną. Chyba ze Złym dzierżą, alboby w nich pod postacią habitu guślnicy jacy byli? Bo kogo ujęli, już przepadł. Tu wspominała myśląc pani Grzymicha, jako landgrafowi turyńskiemu takiego mątu w głowę nakładli, iże pan tenże udzielny łachmany wdział i z nimi wespół po żebrach chodzi. A cóż Audacja, grafini szweryńska, z woli swej własnej na wsze czasy im wraz z czterma córami zapisana? A cóż Agnessa, na dziwy, ta wielka Agnessa czeskich królów potomkini, od której siła dobrego zaznała pani Grzymicha, gdy w sieciechowskim klasztorze, przez Konrada zamkniona, jęczała od plag sina. Przyjechał do tej Agnessy, już wdowy, król jeden sycylijski i o rękę prosi. Nie chciała, Przyjechał drugi król, francuski. Odprawiła. Przyjechał trzeci król, niemiecki. Wzgardziła. Zaczem siedm córek swoich oblekła w habit i z woli własnej pokutnicą ostała i ninie w Pradze u tej braci siedzi. Tu zasię przyszła na pamięć rejencisze jej

stara hańba i ta zemsta, co ją za to ratajom cysterskim, Konradowi oddanym, przysięgła. I zaraz uczuła serce dla żebrzącej braci franciszkańskiej, przeto samo, że na nich cysterskie mrowie zawistnie poziera i gdzie takiego dopadnie, zaraz mu kości liczy.

Napoślad tych pani Grzymiszynych rozmyślań weszła znagła pierwsza dworka do komnaty i pytanie w pokłonach daje: czyli wielebny gwardjan franciszkański przed oczy pani miłościwej jawić się może najpokorniej?

Przyzwoliła i wszedł. Był to człek dziwny, którego Chromym Paszkiem zwali. Tak w pysku jako i w habicie szary. Szczurek w oczach, w myślach piskorz, w słowach czeski. Cich a pokor, ni to ptaszek, ale widno, że pyszny z bosego rodzaju swego. Ten ci słowa próżnego z ust nie wypuścił, a które rzekł, to je wpierw na troje przekąsił. Zsunął kapicę z ołysiałej głowiny, pochwalił Boga i zaraz jął cosi koszkać się po gębie.

Więc pani Grzymicha pospyta, skąd mu to koszkanie. Odrzekł płaksiwie, jako idąc tu na kasztel, napotkał wielebnego opata ojców cystersów z Mogiły, w kolasce jadącego samoczwarci. Gwardjana dojrzawszy, opat znaki dał, wychynął

z kolasy i zaraz dwa pucki w gębę mu trzasnął, przyłożywszy. A to dodał jeszcze, że „ilkoraz cię napotkam przybusiu ty dziadowski, tylkoraz kości policzę, aby ci ta łazęga z kazaniami po mieście i po grangjach moich obmierzła“.

Tutaj rozśmieje się pani Grzymicha i zapyta Paszka, jak mu się ten opat wydał z oblicza. Odrzecze gwardjan, że na obliczu rumiany był. A na podołku? Na podołku tłustobrzuch. Zaczem spytała, czyli widział, jaką cerkiew kamienną stawia ten opat w Mogile, i tak rzekła:

— A wyście na pysku jacy? Otże sucherławi. A mszę gdzie czytacie, w chatynce cieknącej. Nie zawiść wam?

A ten Paszek chytrze okiem śmignie i rzecze:

— Mychom żebraczkowie cisi, a regułka u nas takowa: sobie skąpi, Bogu szczodrzy.

A Grzymicha:

— Ale kasztel kamienny zdałby się?

Znów Paszek:

— Nie lza nam, miłość pani, jeno na zielonej darni żebraną strawę jeść.

Znów Grzymicha:

— Słysz, ty niezguło! A gdyżbyście mia-

steczko jakie na prawie niemieckiem dostali, albo też siółek parę, hej?

I Paszek:

— Nie lza nam, miłość pani, jeno z użebranej strawy żyć. Tako rzekł ociec nasz w Asyżu, umierajac, iżbychmy ku niczemu oskominy nie czuli przenigdy, jeno po świecie wędrować mamy *mendicantes*.

Już strzymać nie mogąc tych gadek, skrzykła pani Grzymicha:

— Łżesz, ohydliwie łżesz! Wiem ci ja dobrze, ktoście wy są i kędy się poszerzacie. Wam to pan papież rzymski najpierwszym ucha dawa, a już też na cesarskim dworcu widne owe paski wężliste, które pod oblikiem cnotek anielskich wszędy posięgają... Wiem ci ja i więcej...

Chromy Paszek zaśmiał się, a śmianie ukazywało, co w sercu miał. I tak zerkał potajemnie, jak gdyby żyda grzebał.

Pani Grzymicha dalej wykładała:

— Owaciem widzę, kędy w was ugodzić! Ejże, panie gwardjanie, bacz, co powiem, a braci swej powtórz. Niech jeno zachcę, a zapowiem tych kazań po mieście i łazęgi, a was w ilości zupełnej do stróży oddam i powozu, albo i precz

z księstwa mego wypędzę. Chyba, że się k rzeczy mojej przyłożycie, tak i tak.

Gwardjan, wielmi ciekawy, główsko z kaptura wynurzył, szczurzem oczkiem świdrując:

— A jakaż to rzecz waszej miłości?

Tu Grzymicha usta wysechłe koralem gorącym pokryje:

— Rzecz stolca krakowskiego! Żebyż na jedynej Polsce nie Konradus, ale my z Bolkiem włodarzyli, żebyż mi k tej myśli pan papież mocy swojej przydał. Niech mi w Konradzie antychrystowego pachołka i sampierza piekielnego uznają i zeklną. Niechże mu oćca w grobie spaćkają. Otoć rzecz moja!

Zaczem skrzynię otworzyła i dobyła z almarji woru dość wielkiego i miotała weń srebra bezliku, oraz i nieco złota okrągłego. Ażci tyle nałożone było, ile dźwignąć człowiek zdoła.

— Wór ten nieostatni bierz i w posły jedź. I o to proś, by pan papież wolę dał.

Znowu gwardjan skłonił się najpokorniej i cedził słówka powoli:

— Nie potrza, miłość pani, ni złota, ni posłów nie potrza. Ta wola pana papieża, o jąż pytacie i posyłać chcecie — bliżej jest.

Zaczem posięgnął ręką pod przypierśną szatę i dobył pergaminu, z którego na zawiaskach purpurowych zwisały ciężko świątobliwe pieczęcie Stolicy apostolskiej.

Wraz rejencicha popatrzy, jakieby były w barwie: czyli czyrwone? Bo czyrwone łaskę znaczyły, a insze niełaskę. I przenajgorzej ujrzała, bo żółte były.

A gwardjan dalej prawił:

— Pisanie to, które goniec kapituł naszych generalnych przywiózł, właśnie objawić miłości waszej przybyłem. Tedy powstać raczcie, znak krzyża uczyńcie, a słów oćca świętego wysłuchajcie!

Ciekawością porwana, rejencicha bez głosu wstała słuchając, gdy Chromy Paszek czytał zapaliście, słowa łacińskie w polskie przemieniając:

„To ci poprzód wiedzieć dawamy, ducisso krakowska i sędomierska, iżeście niepożyteczne sługi Boga miłego są i owszejki książęcego obrządku nieświadome. A przeto nie jest włodarstwo wasze chrobre ani mocne...“

Tu pani Grzymicha wrzaśnie, ogniem cała pokryta, a to pisanie, co je Paszek czytał, porwawszy, o ziem ciśnie. Jegoż samego za kapicę mniską chyci, chełtając mocno i bardzo. Zaś wtórą piąstkę posunie do oczek przerażonych gwardjana.

Jakoby lelek w słonko zaniesiony, skurczył się Paszek niebożę. I losu czekał. Znałci on bowiem przyrodzenie rejencichy, w którą czart łacno wstępuje. I tak rozmyślał:

albo mnie teraz Rusinka światła oczek pozbawi?

lubo pod ziem głodnego posadzi?

albo jeszcze odjąć mi rozkaże niektóry członek wyborny?

Wszelako oblekł się w spokojność i chytrze przedsię pozierał.

Pani Grzymicha zasię zgryzła jeden czerwony paluch swój i nawiodła się na drogę cierpliwości a potem krzyczała:

— Wiedzieli kniaziowie łuccy o należnym obrządku włodarskim drzewiej, gdy jeszcze Przemyślid z Arpadem skoty w debrach pasał. Ty mi, wierę, o walniejszej rzeczy mów, co się stolca krakowskiego tknie!

Więc gwardjan:

— Owaciem o stołecznej rzeczy też będzie!

Kazała mu tedy czyść dalej. Czytając, miętolił słówka, a twardsze na troje przekąsał. Które takie były:

„Niechrześcijańskie to wasze księstwo. Bo

kiedy *totus christianitatis orbis* o kamień grobu Pańskiego krwawił się, — gdzież wonczas byli? Gdy nawet i chłopiąstkowie maluchni biegli ławą do Ziem Świętych, aby niewiną serca saraceńskie zmóc naboje — gdzież wtedy byli? Ninie nowa potrzeba krzyżowa gotuje się. Śpiewający i poszczący, z grzechów swoich odpuszczeni, pobiegną rycerze wszech krain i ziem. Ma ich być pięć razy po dziesięć tysięcy i jeszcze więcej, ma ich być tyle, iżby pod skrzydłą miłosierdzia Bożego zeprali Saracena.

Ty także, ducisso krakowska i sędomierska, siłę ku potrzebie dasz. A też roty łuczne i kopijne wystawisz. A to jeszcze być musi, żeby na ich czele syn twój w postach i śpiewie do Ziem Świętych jachał!“

Tu przerwał Paszek czytanie i słowem dołożył:

— Gdyż to wszystko spełnicie, miłość pani, wtedy ociec święty za wami wolę swoją da. Inak w klątwę postawi.

Lecz rejencicha rączo sprzeciw ogłosiła. Coż tam komu sprawa krzyżowa? Jeździł był do grobu Pańskiego Jaksa Gryfitów syn z hufcami i cóż? Po próżnicy? A Fulko, grabia andegaweński, ileż

pozyskał, jakkoli nagi poczołgał się do Ziem Świętych i tam kawał kamienia z grobu Pańskiego zębem swoim odkąsił? Ona zasię, gdyby rot dostatek miała, wolejby je rozesłała na znieważenie płockiego zamczyska. Ani synala jedynego k temu oddawać nie chce, boć otrok w szyku bojowym wcale nieumiały jest.

— Nie potrza mi — tak dalej prawiła — krzyżowej, gdy doma wrychle potrzeba będzie. Już też pełzają gadki okropliwe, że tatarskiej tłuszczy khan ku Węgrom ruszył.

Odrzekł na to pan Paszek, że tu nie przyjdzie, bo jadą już k niemu dwa rozesłańcy zakonni, którzy khana tego światłem wiary oświecą i do posłuchu panu papieżowi przywiodą.

Aliści rejencicha dalej wołała, że Bolka nie da na potrzebę, chybaby to panom i nobilom przykazała, niechaj w poczcie swoim jadą. Zaczemby wiedzieć rada, ilkoby miało być tych rot i kosztu zbrojnego?

Znowuż przybrał gwardjan najpokorniejszą postawę, dalej czytając z pergaminu:

„Jakąby siłę ducissa krakowska dać miała, o tem wielebny minister franciszkowy w Pradze rozsądzi. Ileby rot kopijnych i łucznych w koszcie

wystawiła, to wielebny minister franciszkowy policzy.“

Na twarz pani Grzymiszyną siność teraz wystąpiła, ukazując, co w sercu czuje.

— Tak tedy w waszych ręku rzecz cała?

A Paszek wciąż pokorny:

— W naszych ręku przez oćca świętego złożona.

A Grzymicha:

— Wierę, pojmujecie, że ani kosztu nie mam, ani jedynego swęgo dać mogę.

I Paszek:

— Pojmuję.

Teraz go Grzymicha słodziutko pospyta, czyli im kiedy skąpą była. Odrzecze Chromy, że owszejki i zawsze szczodrą.

A rejencicha:

— Owaciem teraz szczodrzejszą i najszczodrzejszą będę. Miasta wam na niemieckiem prawie wypuszczę, siół przydam bez liczby, ile zachcecie.

Nie mówiąc, Paszek słuchał, uśmiechem tym swoim pokryty.

Dalej rzecz wiodła:

— Więcejć dam jeszcze. Znasz owo jedno prawo władne, księskie, sądu Bożego prawo? Wa-

sze będzie! Moc dostaniecie członków ludzkich mutylacji i wyłupiania oczek, będziecie grzebać pod ziem ludzie żywe, będziecie wiedli na stos, kogo li wam się żywnie zachce!...

Jakoby słów nie słyszący, mówił k temu chromy gwardjan:

— Ci zasię z książąt chrześcijańskich, którzyby alibo kosztu zbrojnego nie mieli, alibo w szyku nieumiali byli — powinni są dopełnić *conditionem alteram.*

— Jakaż ona? — rączo pospytała Grzymicha.

A Paszek:

— *Conditio* krzyżowej pokuty, która wykłada się tak: Pokoli Ziem Święta dobytą nie jest, mają wszelkni małżonkowie książęcy czystotę cielesną chować. Którzy w zmysłach igrają, przestaną, którzy z nałożnicami siedzą, precz je przepędzą odtychmiast. A jeśli ninie niewiastki pojęli, tedy je w dziewczyństwie ostawią. A owo tknie się i waszego Bolka.

Zaraz wołała pani Grzymicha, żeby więcej rzekł o tem ślubieniu, jak z niem jest. Więc prawił, jako Cunegundis ostać ma *casta et castissima.* Iżby cale a cale nie zaznała grzechu męskiego. K temu miłość pani stróżować pilnie muszą do roku.

— Zaś po roce?

— Po roce ją ociec prowincjał w dziewczyństwie obejrzy i ślubami utwierdzi.

Jako mincarze srebro ważą, tak pani Grzymicha myśli ważyła rozmaite i pytała:

— A jakli slewka moja pokuty owej dopełni, wtedy wierę stolec krakowski mój? Toć powiem, iże dopełni!

Tedy odparł gwardjan, jako nadto srebra i złota brankardów trzy upakować lza. Aliści nie ono najpierwsze.

— Któreż znowu? — rzeknie patrząca końca tej gadki Grzymicha.

— Najpierwsze to, iżbyście miłość pani z dworem swoim całym niżadnego ucha spowiedniego nie brali, krom naszych oćców franciszkowych.

Tu jął wykładać wiele o dostojności habitu szarego i paska z węzłami, w którym zbawienie duszy pewne i jedyne. I twardo urągał wszelkim innym kapicom mniskim, tak benedyktyńskim, jako i cysterskim. Więc tamtym żadnego ucha nie dawać, ani wygody. Temu jeno winy wyznawąć, jegoż nakaże konwent franciszkowy. I to owszejki przyzwolić, iżby po wsiach i miastach księstwa wszechwszędy kazać mogli braciszkowie, od na-

paści bezpieczni. Ano jeśli klasztorek postawić chce pani Grzymicha, niech ta stawi, żeby jeno nie jeden, a dwa, z cegły czyrwonej ulepione. Też na kapitułę przysłać raczy co rok grzywien srebrnych pięć razy po dziesięć, też obraz św. Franciszka w szczyrem złocie wyklepać. Tak mówił, a rejencicha, słuchając, stękała.

Rad wielce, że go pod ziem nie posadzili, wracał dodom Chromy Paszek, a zaraz potem w stołpach rozzuto oćca Przebora z jigieł kłujących i z kłódek odemkniono, aby przed oblicze dostojnej na sekretny pogwark szedł. Któremu ostro nakazała: Niech tam, jakie chce, dziewczynie nauki wykłada, to jej atoli przykazując, żeby w cnoćie trwała. Bo inak potoroku do wora główsko łyse dasz!

Tedy posłuszny prawił do młódki, kiedy nazajutrz po naukę przybiegła:

— Ninie o djablisku więcej powiem ci. Dobrze mnie słysz, iżbyś pojęła, słuchając. Niezawdy ma on ślepia wilcze i włos kosmaty. Niezawdy do pasa światłem świeci, od pasa smrodem kurzy. Też każdą, jaką zachce, skórkę ludzką wziąć może na się, gdyż przyrodzenie jego wężowe. Alić wpierw na jedno okamgnienie strzyma w człeku duszkę

Bożą. Jako każdy zjawić się może: jako mać i żełwica, jako rodzic i brat. Taka moc, taka w czarcie moc! Wierę i we mnie biedaka wniść zdolen, i w ciebie, okrom chęci i myśli naszej. I jedno sam ociec święty, pan papież to dane ma, zą przyczyną Macierzy Pana Krzystowej, iż w skórkę jego nie lza włazić djabliskom.

Tu Cunegundis:

— A hej, cóż mi prawicie? W mać wlezie ten czart i w brata? Otoć i w małżonka ślubnego też?

A Przebor, w oczkach rozgorzały:

— I w małżonka ślubnego też. Przenajbardziej, to wam mówię, przenajbardziej. Gdy dziewkę w czepiec odzieją, mężowi dawszy, wtedyć czarcisko skwapliwe! I pożąda ku niej tak, jako jeleń pożąda ku studniom wód.

Więc Cunegundis:

— Wejdzie li w małżonka mego, jakoż rozpoznam?

— Znamiona będą niejakie, z których poznacie. Azdali kiedy wasz Bolko sapiący do was przybieży, gdy ogniem zajdą mu oczy, a dziwnem pojrzeniem okoli lica twe i osobę, — wtedy waruj się go, dzieweczko! Azdali kiedy tak będzie, iż

w pałającej przyskoczy postawie, gwałtem za oburącz chyci i cichcem prawić pocznie wabne słówka niejakie — wtedy waruj się go, młódko miła! A to pod przewiną grzechu śmiertelnego! I pod piekielnych męków karą! Albowiem nie on to jest, mąż twój. Nie on, jeno djablisko jest! A jedno okamgnienie starczy, iżby największe szkodowanie uczynił duszce waszej!

Skrzykła mocno Cunegundis i struchlała, bo jej to w pamięć weszło, co już raz była ujrzała w majaku sennym. Zaczem, ze stołpca zszedłszy, pobiegła w okrągły kościółek wawelski. Sama jedna stanęła maluśka wpośród ścian wysokich, szerokich. Poprzez wężuchne okieńce w grubych ciosach kamienia napływało słonko, ukazujące niespórną chwilę seksty. W ołtarzu rozwarł ryte w kamieniu ramiona Krzystus, zbawiciel bolesny. Na ciekących wilgocią kapitelach i zwornikach gziły się wodożygie szatany, szczerząc ku młódce okropliwe pyski. Cunegundis na ziemistej polepie kościoła rozłożyła w krzyż swe dziewczyńskie kosteczki i chciała Boga miłego prosić zapaliście, iżby przenigdy czart piekielny nie wszedł w duszkę jej książęcia. Aliści słówek potrzebnych k temu nie umiała.

Podczas chorus zakonny godzinę odprawiał. Poklękały rządkiem kaptury mniskie i, chełtając się tam i sam, jednym pospólnym mamrotały głosem:

Inclina Domine aurem tuam et exaudi me, quoniam inops et pauper sum ego.

Cunegundis klęcząca szepiutała cichutko, powoli:

— Oćcze nasz, jenż jeś na niebiesiech, oświęć się imię Twe, przyjdzi Twoje królestwo...

Mróz był tak twardy, że panu Pakosławowi nos pobarwiło na sposób mycki biskupowej. Wisełkę zasię mrozy związały i stanęła. Aliści, jak zawsze od lata, wyjechali oni samopiąt z pod sędomierskiego kasztelu. Książę Bolko poprzód, pan Pakosław wojewoda za nim, dalej Mszczuj, zwany Lisem, Siegniew i Strachota, Pakosława syn. Spół z nimi gnała rota jedna kuszników w pół setce koni i głów, chłopy wyborne. Owszejki w wielkiej do wojowania ochocie.

— Eja nam, — prawił pan Pakosław jadący — bychmy takich rotów pięć razy po dziesięć i więcej stawić mogli, trzymałbych tą ordę za głupka. Alić wierę, gdy lody trzasną, być może Tatarzysko tu !

Który, skąd nadejść mógł, Bóg jeden na niebiosach wiedział. Kniazia Michała ludzie w roz-

sypce z Czernihowa uciekając głosili, że khan Peta ku krakowskiej teraz ma chętkę ziemi.

Co prędzej tedy przyuczał się Bolko z młodziankami składu bojowego w kasztelu, jenż o pięć stajań od Sędomierza stał. Kładziono codzień księciu zbroję kopijną srebrzystą, brał mycki ciężkie i nakolanki, oraz dwie półpłaty: na piersi jedną, na plecki drugą. Bywało stąd fukania co niemiara, gdy miał nawdziewać to wszystko. Na pawęż wołał, że nieporęczna, bo kształtu ważnego nie ma. Raz mu było kłaków pod zbroją za mało i ziąb czuł, gdy zaś więcej przydali, piszczał, że gniotą.

Na błoni, nad Wisełką, rozszykowali młodziankowie kuszników, pilno czyniąc z nimi obroty i składy. Zaś pan Pakosław pouczał księcia wszystkiej sztuki kuszniczej. Nośnej kuszy Bolko do rąk nie chciał, że nieskładna i książęciu nanic.

— Tedy, niech się miłość wasza li do jezdnej kuszycy przyłoży.

— Podajcie!

Podał woj księciu na koń kuszę jezdną, która była ze srebrnym kutasem i kością wyprawna. Zaczem prawił, jak z nią jest. A to, że bywa mniejsza od pieszej i z cieńszego żelaza obłąk

ma, cięciwkę zasię z kichy bydlęcej lub kręconego rzemienia.

Zaczem pytał Bolka, czyli nie przepomniał doma pasu kuszniczego. Nie przepomniał.

— Toli widzicie hak na poboczy pasa?

— Cóż z nim?

— Zaczepić raczcie o lewar, a raźnie i z siłą.

I pokazywał tak i tak.

— Teraz ku koniu pierś pochylcie. Mocno li strzała siedzi w rowie? Stopkę zaś dzierżcie w gotowości, by wraz o kuszę zawadzić.

Ale te próby nieraźno szły u Bolka.

Więc pan Pakosław dalej przyuczał:

— Hejże, a cięciwki nie silić za bardzo. Teraz baczcie, kiedy powiem. A oto mówię wam: mierzaj! Co się wykłada, aby dobrze od oka wziąć. Wzięliście? Puść!

Świstu, drzystu pomknęła strzałka w białe dale. I zaraz nad przeręblą wiślaną wykopytnęło się jedno kmiece pacholę, z kupy całej, która tam tropu bobrowego szukać rozkaz miała.

— Słabo pchniona — warknął pan Pakosław. — Dwu chłopu możnaby naraz!

Tu Bolko jął prać się oburącz co siły po ramionach, bo go ziąb większy brał, a k' rzeczy

wojennej chęci nie miał, więc pan Pakosław trąbił na Strachotę, Mszczuja i Siegniewa, niech z nim trochę gwoli uciechy w polu przegnają.

Gnając po polu, gadali młodziankowie, bo mieli do księcia śmiałość, od dziecek razem będący na igrach i gonitwach.

Mszczuj prawił do Strachoty, a Strachota prawił do Mszczuja:

— Powiedał mi stryk, że drzewiej, za starego wieku, koli kich bydlęcych do cięciwki nie stało, urzynały niewiastki kosy swe, aby cięciwy z nich kręciły.

— Zaśby?

— Tak bywało. A czasem niektóry i prze ich woli chycił za kędzierz i ciachnął kosę na cięciwy. Toli białogłówka piskać musiała... Uhi...

Śmiali się, aż dech im w sople tężał.

— Tatarski śmieć toby zaś nie mógł!

— I czemużby nie?

— Żali nie wiesz? Wierę u nich babska łyse! Uj-ha!

— Prawda li to, że Tatar z kobyły się rodzi?

— Ahi, głuptasie! Jakżeby człek ze źwirza? To jeno, że je pod kobylą cyckę kładą, bo tatarska mać dwunaście dziecek naraz rodzi, a przez

rok trzy razy po dwunaście: pod wiosnę raz, jesienią wtór, i w mrozy jeszcze też. Zrazu ślepe, a potem trzy oka piesku takiemu rosną.

— Muszą ci być owszejki babska wyborne, naschwał!

— A z Kumankami wiecie, jak jest?

Tak sobie oni gwarzyli, a Bolko uchem strzygł i słuchał rad, bo mało tego świadom był. Więc prosił, by jeszcze mu co powiadali, ale żeby o niewieściej rzeczy.

Tu Siegniew, cichy dotychmiast, rzeknie oskomliwie:

— Wierę, trzebaż to waszej miłości osobnych gadek słuchać, gdyś żeniuch został jest? A toż niewiastkę ślubną w krakowskim dworcu macie i czeka ciepluśka...

— Owszejki mówcie, nie powiem jej!

Zaraz parskali głośno z tego, szepcąc cichcem gadki o nim znamienite.

Wtedy książę Bolko zaperzył się bardzo, wołający:

— Hejże Strachota, co tam cichcem prawicie? W te pędy powiadaj mi, jak jest z niewiastkami, bo nie wiem.

— Nie wiecie owszejki jak jest? Prawda li to?

— A nie wiem.

Więc Mszczuj:

— Toliście się już pokładali?

— Pokładałem łońskiego roku, to i cóż? Widzieliśta w świetlicy wawelskiej.

— A potem samowtór nie?

— A pocóż? Ślubiny jedne są.

Więc oni chórem rechotali. Mszczuj pierwszy, Siegniew wtór za nim, Strachota także i wszyscy razem.

— A jakże śpicie?

Mówił Bolko, zły i nie rozumiejący, o co go chcą, jak śpi. A oni w chichoty jeszcze większe. Wtedy książę jął ich wielce przenagabywać, wpadł w złość i wałacha kłuł. Więc wyłożyli mu białogłowską rzecz jasno.

Zamilczał, słuchając, ale w pamięć wziął. Mróz zasię brał coraz srozszy. Bolko ziąbu już nie czuł. Prychając, gnał do dom chmurny i głęboko ważący.

Skroś drogi siedział kudłaty chłop, dzierżąc z babą owo pacholę, z kuszy ustrzelone, które już było stężałe w trupka. Tłukli w pokłonie głową o śnieg i wyli społem, prężąc żałośnie gicały do książęcia.

— Dać tym ninie szkojców pięć i kamienia woskowego ćwiartkę — krzyknął Bolko Strachocie i jechali doma.

Gdy do zamku posięgli, już tam goniec z Krakowa czekał, co mu donieść kazali, jako ichmość ducissa, księcia panowa żona, w odwieczerz w Sandomierzu stanie.

Rozzuł pawęż kopijną, cisnął gdzie nie bądź płachy i nakolanki, wołał, by szczap dołożyć w kominie, legł na skórę i mocno spał.

Gdy oczy rozwarł, wieczór był. W komnacie przyległej cosi świegotało. To Cunegundis z dworkami kosteczki w kominie grzała. Spojrzał książę w kąty, szukając męskiego przyodziewku. Nie było. Nalazłszy zbroję kopijną, wdział ją. Odwarł łańcuszek komnatki i wszedł. A idąc, dźwięczał.

Czyli to, że przy ogniu siedząca, czyli, że od dwudziestu niedziel niewidziana, wydała się ducissa księciu kraśniejsza i rumiana. Kędzierzawe promienie, barwy laskowego orzecha, biegły w dół od białego czepca. Szatę miała fałdzistą, długą, u piersiątek ciasno obłapioną. Napozdłuż i nawszerz wypulchniała niby gruszyna, kiedy źrzeje. I na każdym członku jednako cudna była.

Pozdrowili się i poszli w pogwarki. Powieda

mu ona, że w tym Krakowie były wczoraj wielce jadowite gadki o Tatarzysku, który, prawią, już haj haj nad Wisełką stanie. Więc wyprosiła się u macierzy, by obaczyć i pospytać, coli to się święci?

To prawiąc, pokraśniała, dotychmiast go ani w kirysie, ani w tej zbroicy srebrzystej nie znająca. Wydał się ducissie Bolko inakszy. Latem chłopię zeń jeszcze było, ninie witeź i woj. Mówiła, że już teraz nie strach jej przed Tatarzynem, odkoli tu jest. I wstydając się, prawiła mu tak, jak dotąd nigdy. Że w tej zbroicy zda się jej, jakby już był owym, którym go mać widzieć chce przenajbardziej.

— Chce mnie widzieć? Kimżeby?...

— Całej ziemicy polskiej księciem!

— Mać jeno chce tego — a wy nie?

— Jaci też!

I rozbłysła bardzo w oczkach.

Potem jedli społem z mis chlebowych, dzieląc palcami kawały sarniego uda, które było dobrze dymione i jałowcem pachło. A potem mieli się ku spaniu i szli precz od siebie.

Jeno huknął książę z okieńca, iżby zwód mostowy ku górze ściągali. Zaczęły zbyrczeć łań-

cuchy, które przez kroksztyn szły od dworu do pułapu, gdzie tkwił w bierzmie kran żelazny. A potem cichość zimowa zaległa na kasztelu.

Nie czekał Bolko długo. Trącił nieco łańcuchy i do komnatki wszedł. Łuczywo z piskorza suszonego łyskało u stropu niezgaszone. Cunegundis, w pościeli siedząc, grzebała kościanym grabkiem w kędziorach, które roztoczyły się tam i sam po ramionkach, po przypiersi i po białej ciasnosze.

Obaczył w niej teraz niektóre znamiona niewieście (też same, co o nich Strachota rankiem opowiadał) i wraz wstały w nim wszystkie zmysły cielesne. Rychłym skokiem przybieżał ku posłaniu i posiadł się przy małżonce, sapiący.

Cunegundis oczy ucieszone na Bolka podnosi, chcąca rzec, iż mu rada, lecz oto zatchnęło ją z przestrachu. Spojrzała nań i wnet owe słowa oćca Przebora stanęły jej w myśleniu: „Kiedy ogniem zajdą mu oczy, gdy sapiący do cię przybieży“...

A wtedy jęło ją cosi mglić w gardziołku i ciskać. Ziąb z ogniem pospołu biegał po dziewczyńskiej lędźwi. Chybotała się caluśka bardzo

a bardzo. I tak ją trząść wzięło okropliwie, jakoby chorość niejaką czuła.

Sapiący, chycił ją Bolko za oburącz i szepiutał, aliści nie jego cale mowę słyszała, jeno oćca Przebora, eremity: „Przyskoczy do cię nagabliwie, chyci i pocznie cichcem prawić rozmaite słówka“...

On zasię mówił: Czyli jej co powiadali, bo jemu już. Być musi żywot wespołek między małżonkami. A to ostanie tajemne między nimi. Potem wabił ją ku czemuś, czego nie rzekł. Chciała go prosić, żeby się nad nią zmiłował jest, ale nie lza jej było. A on, chłysnąwszy, wołał, iże ją miłuje prze wszystko. Prze tych włosów rozpuścistych, prze pąkowia na piersiach obojego tu i tu i prze jej tego rozkosznego smaku, który mu dotychmiast ostał był niepostrzeżony. I że ninie pożąda ku niej tak, jako pożąda jeleń ku studniom wód...

Wtedy porwała się i krzykła wcale nie swoim, aleć tym oćca Przebora głosem:

— Djablisko jest! djablisko jest!

Rzuciło ją o ziem trzęsącą i znowu podniosło. Chyciła się rączką tarczynu, patrząca, kędy uciec.

Bolkowi, ognie szły z chabrów ocznych, gęste, obfitsze, płowy kędzior zjeżył się w kudły i spotniał, a słowo polazło w krtań.

— Djablisko jest! — krzyknęła znów i zemdlała docna.

Natenczas książę krakowski i sędomierski skórę turzą o ziem cisnął, chycił swą żonkę wtór i na zielnych woniach ułożył.

... Gdy znagła zaszczękały ostro łańcuchy u pułapu i jęły zgrzytać niepomiernie, obracając się ze stukotem na żeleźcach kranu. Skrzypnął żóraw, hrymnęła wdół brona i zwód.

Na zwodzie mostowym zadudniało, jakoby rota cwałem tam gnała. A krzyk i lament działy się w przysieni. Bolko niewiastkę skórą nakrył i odgarnął spotniałe kędzierze. Pchnął zawór w okieńcu i wyjrzał. Łuna zaćmiła mu oboje oczu. Niebo stało czerwone. Gdzie dojrzeć, gorzały wici smołowe. Na dziedzińcu pełno było od jeźdźców, którzy głosili trwogę.

Wnet doszedł, co tam jest: że widno idą na Sędomierz ci, których piekielne książę sędomierskiemu księciu śle: ścierwo na konikach, Tatarowie.

Od wschodu słońca biegli, w gęstwie wielkiej, niepoliczonej, na postrzał z łuku rozstawieni, lodem namarzli, w skóry zaszyci. Naprzeciw śnieżnym przewałom szli, naprzeciw zamrozom twardym, bez znaków uprzednich, w zaciszu. Kudłaci, lściwi, drapieżni, dotąd niesłychani. Ohej!

I wierę antychryst z nimi gnał, aliści nie w jedno obleczony ciało, jeno we wielości ciał małych, do koniąt przyrosłych.

A od naboju tego stękała ziemia, której spokojność jako miód z leśnej barci brali.

I już tam kur przez wielki czas nie zapiał, kędy podeszli. Kyrje elejson!

Jak pokoszona traw padało plemię chrześcijańskie.

I już tam zgliszcz dymiła bolesna, zasmucona. Chryste elejson!

Peta, suczyny syn, wiódł jedne, Hajdu, zgłobliwy pies, drugie gnał. Służył im wielbłąd, konik garbaty, służył im Kuman, Bulgarus i Rusak, rojno przodem pędzony.

Tu tysiąc po dwieście łuczników —
tam tysiąc po sto siekiernych —
tam tysiąc po sto oszczepnych —
W kotłów łomocie, w bębnów jazgocie szli.
Ogniem parzyli, okrzyk czynili, hoszczepem kłuli.

Piekło stanęło otworzone, niebo stanęło zasmucone. I aniołowie Pańscy skrzydłem wzrok nakryli.

Nim koziorożec lody uwięził, dobyli Kamieńca, a kiedy wodnik ryby zamroził już na ten gród sędomierski naszli. I ciasno go obegnawszy, strzelbą prażyli.

Ani ich wstrzymać mogła Wisełka, woda biała lodami ścięta, ani ich śnieżna zamieć obłąkała. Jeden mógł widno odpór temu dać, w niebiosach nadnawyższy Bóg!

Wtedy na dworzec krakowski trwoga podeszła i wypełniła go powszędy od przysieni aż po wieżowe stołpy. Struchlał zalękły zbór czeladzi, umknęły w kąty dziewki darmopłoche. Tłum

niewiastek i panów, tłum rotmistrzów, kapłanów pokrzykał, przebiegał strachem oparzony, rady szukający.

Żeby wały oprawiać, — mówią mnisi cysterscy.

Czyli bramy zamykać? — pyta starost grodowy.

Którym Bogom się modlić? Panu Krzystowi nowemu, czy dla starucha Jessego końskie ładzić obiaty?

Ciżba białogłów zachłyśniętych przy ogniu kucnęła. Płucowieszczki, paprosznice, kobiety. Kądziel do ognia kładą, wróżek różnych szukają. Co będzie, co z nama będzie? I wszystkie przeciwek doli złej zaklęcia pazdrotają.

Pazdrocą jedne, wołając: † IRAN † LIRAN † CARAPHAN.

Pazdrocą drugie, wołając: † STOLIDAN † CALIRAN † CARAPHAN.

Gospodzie, zmiłuj się, Jesse ulituj, ogniu uratuj!

Wszystkim widny książę Bolko komnaty przebiega. Słowa niejakie rozrzuca, znów czoło trze i o macierz pyta. (Która podczas cichcem na kasztel leśny udała się, skarby do ziem chować). Więc panów do rady skrzykuje. Biegą k niemu strachem

obleciali. Żeby wraz wici palić, woła, żeby włodyków spędzać. Jaka siła k nam idzie, o to pyta.

Więc barony w szmer, a zgłobliwy. Nieogarniona ta siła. Przecz tak znagła podeszła, nie wiedzą. Na insze krainy ruszyć miała poprzód. A tak gorze nam! Jakoż włodyków zbrojnych przywabim, kosztu nie mając? Skąd roty wystawim, leli-poleli? Miecz nasz na obojej nieostry stronie, hej. A cóż Sędomierz? Nie strzyma. Chybaby oddać i ten gród krakowski, nieoprawny? Chybaby księciu z niewiastą ku węgierskim okrajom iść? Boć tam przymierza nie uprosi u nich.

W rozgwarze ciżby struchlałej, w piskocie niewiast jęczących, wśród modłów, za księdzem wtórzonych, wśród guseł, w ogniu czynionych, jedna tam ona była osobna i cicha: Cunegundis. Precz od tych gadek biegła na samotne myślenie.

Panowie tamci nie wiedzieli, przecz tak rychło Tatar nastąpił? Ona owszejki wiedziała.

Mężowie tamci nie pojęli, czemu na lackie ziemie pierwej runął, bez znaków uprzednich, najnaglej? Ona bystro pojęła.

Od dziecek słysząca, że przyjdzie, w tem spodziewaniu wyrosła.

Jasno wiedziała, kto idzie. Pod przykryciem

tatarskiem bujny król! Przeciwek mnie on tu idzie, chocia dzieweczce, przeciwek mnie wielki sunie, chocia maluśkiej.

Jenżeś był wstąpił w oczka Bolczyne — tyś to sam, bujny królu!

I wraz potem gród sędomierski obegnał — tyś to sam, wraży rabie!

A ktoby z tobą nie wojował, grzeszy!

A kto cię pognębi, przeszczęsny!

Chłopiąstkowie cieńcy szli do Ziem Świętej przeciwek tobie w potrzebie —

Mać Boża łeb ci zdeptała żmijowy —

Hedvigis święta i pani Salome najmilsza bojują z tobą najtwardziej —

I ociec Przebor krwawiący. I Boża czeladź powszędy...

Te pomyślenia gorące kołowały w głowinie niewielkiej, która ważyła długo myśli różne, to ufne w moc Bożą, to nieco truchliwe. A wtedy z wejrzenia Boskiego jął w niej narastać mocny duch. W niej jednej, kruchej dzieweczce. Z pomyśleń wyszła okrzepiona, wyższa nad tamte postrachy, mocy pełna i potrzeby z czartem żądna! K temu jednemu przybyło jej latek i rozrządu, sumienia i wszystkiego.

A wtedy książę przybieżał. Splątany w kroku, pokwitający bladością, jakby w nim umarła jedna duszki połowa, a drugą lęk ochwacił. Jął prosić cicho, by się nie strachała. Zna on niejedne schowki leśne w puszczy. Tam uciekną samowtór.

Ogarnęła go dwoją swych oczu, zawżdy dobruchnych.

— Albobyś w ojcowe krainy pojechać skora, kędy król-ociec da nama tarcz bezpieczną — tak prawił dalej.

Spojrzała nań raz wtóry, nie rzekąc.

Pospytał, czemu milczy. I powtórzył, jako zna dziuple skalne, wyborne, wszystkiem ospiżone.

Jemuż wtedy odpowie Cunegundis:

— Tambyś skrytek poszukał, nieduchu?

Zagadnął, czemuż do węgrzyńskich ziem nierada.

Jemuż wtóry raz odkrzyknie:

— Tambyś mnie wiódł, ku ojcu?

Więc Bolko:

— A wiecie wy, że ninie nocą deszcz krwawy z nieba pójdzie? Nie strach wam?

— Nie strach...

— A wiecie, iże ninie rankiem wyjrzał dziw

straszliwy z przerębli wiślanej, w oczach świecący, w pysku kozi. Nie strach wam?

— Nie strach...

Tu przyjął książę spojrzenie zdumiałe, próżno dociekające.

— Wierę objawcie, alboli poradę dajcie, co mi uczynić lza?

A ona:

— Co lza? Ziem Bożą od czarta chronić, włodarstwa od szkody wiarować! Rabu wrażemu, zbóju pieskiemu odpór dać. To wam lza!

Chytał oburącz głowinę i ramiona rozszerzał, rzekąc:

— Niestetyż, milutka, niestetyż!

I wszystko wyrzekł, co tam panostwo mówiło, jako chrobrości brak i sprzętu i srebra na żołdy, a przeto precz wyciekają roty najemne, nieopłacone.

Jakoby promyczek, z nieba bieżący jasnego, spłynęła wonczas w tę główkę dziewczyńską myśl przemądra, dostała.

Kruchą rączyną ozwarła błonną zaworę w okieńcu.

W dół góry wawelskiej biegły rączo srebrne brankardy, strzymywane karczydłem wołów jarz-

mistych, którym ucieczkę nagłą w lasy rozkazała pani Grzymicha. Człapały wolno juczne muły, dźwigające biesagi pełne kosztu drogiego i złota, pełne ważnych kamieni i pereł. Były tam grzywny srebrne pochowane i łańcuchy zawiesiste i świeczydlniki, były puhary i figury, klepane z przeczystego złota...

Cunegundis rączyną k temu chynęła:

— Ot wiano moje, gierada! Bierz je! Na potępę Tatarzysków bierz, na odpór, na rot wspomożenie!

Książę bałuszył na nią oczy nabożne, szerokie. Zasię ona dalej wołała zapaliście, iż to zetrwają, gdyż Bóg, jenż anioły piekielne pognębił, uskromi plagę!

A pod każdem słówkiem takiem tajał mróz Bolczynego strachu. I docna odmieniała się myśl w truchłem książątku. Ta duszyczki połowa, co w nim była umarła, ożyła, ta co ochwaciała, odeszła.

Już o schowkach nie myślał.

Słów mocnych w sobie poszukał, rząd wziął. Wici rozkazał, listy przypowiednie najrychlej. Panów nieduchów sfukał.

— Gdyż nie dopuszczą k temu poczciwe świętych zastępy, by nas zmógł Tatarzysko. Niech

mi hnet roty nowe z włodyków formują, niech hojnie kupią najemców i sprzętu za srebro, za perły, za złoto! I niech mi koników tysiąc we zbroi stanie. A ma być wszystko *pro communi defensione terrae.*

To Cunegundis w nim sprawiła.

Zaiste z wejrzenia Boskiego.

Z jej oczu szmaragowych skrzepienie wziął, siłę. Wpierw męża w nim podsyciła, ninie włodarza.

Sędomierz, od dwu niedziel obegnany, bronił się. Był gródek ten co nieco oprawny, aliści miękko. A ospiżony niewiele, a przyprawiony niebardzo. Te tam parkany obronne, Boże litościwy, to jeszcze bywszy król Krzywoust układał. Ledwo na trzydzieści dłoni większych wysokie stały i ośmnaście mniejszych; z pni dębowych wpoprzek ułożone, polekku gliną olepione. Wały tam były stareńkie lada gdzie, a przekop skąpy, niedbały. Chcieli k temu braciszkowie cysterscy przydać wtóry parkan okolny i wpuścić hurdy nowe w dębinę. Jak raz byłoby! Ale, żeby im zato oddała pani Grzymicha prawo ryb i zrębu. Która, jak to białogłowa, nie chciała.

A też nienadto rycerstwa w Sędomierzu zostawił pan Pakosław, odjeżdżając, i to przykazał, mówiąc: „Ilko można strzymać plac ten, tylko trzymajcie. Chociaby do śmierci, do zabitej śmierci!“

Wierę, trzymali. Gniady Piotr secinę ludzi miał, Szpaczek z Bystrej dwie, ci bramy strzegli. Łukasz ze swymi na wschodnim parkanie stał. Kulesz zaszczycał od zachodu słonka. Janowi z Bielan dano rotę posilną w załodze. Było tego ze wszystkiem, rot kusznych i łucznych, tak swobodnych jak i najemnych sześć, ale cóż, wielki mieli oni niedostatek przyprawy oraz stroju kusznego. Modły Bogu oddawali, bo się trwogi spodziewali.

Gdyż tylko w bramach ostatnie zapory wdół zatrzaśnięto, już ten przybuś kudłaty nastąpił. Zaczerniało powszędy na śniegowych polach. Przodem Rusacy przyszli, wieże jakieś z sobą ciągnąc, na kołach jedne, insze na wielbłądach. A te wieże od naszych wyższe były. Zaczem w pobliż podjeżdżały tarany pewne, a każdy baraniogłowy, dwuczelny. Też kusze niesłychane na kozłach sposobiono.

Uszykowawawszy ten przybór djabelski, zaraz toporem zmóc próbowali pierwsze palisady. Więc Gniady Piotr w nich troszeńkę pociskiem kamiennym na oddal. Nie dbają na to wcale, rąbią, a insze plugastwo do przekopów glinę już sypie. Też chróstu siłę na podpał gromadzą. A to wszystko aby miasteczku na potępę!

Alić sędomierczyki też próżno nie siedzą; albo pocisk ciosają, albo smołę topią, albo to i to do siebie krzyczą. Ku bitwie niezbyt radzi, owszejki czekający, kiedy Tatarzysko przynagli.

Pode ćmą nocy przynaglił, bladysyn! Nasamprzód wrzask haniebny bębnów i kotłów i ludzi podniesiony był. Potem znagła iść jęła strzelba gęsta i gęściejsza. Z tych łuku, co je podwójne miał każdy ścierw kudłaty, z tych kusz, na kozłach uładzonych, prażyli.

Zastękały parkany od wschodu i zachodu słonka. Zapłakała brama, głazami kąsana. Lecz nic to. Naszy twardo na parkanie zasiedli i odpór dają wyborny. I jeszcze Tatarowi wołają: Pójdźże bliżu, bladysynu, a pośpiej się, niedomordo!

Jakoż podeszli. Z nimi wespołek mróz uderzył. Już tłuką parkan tarany, już go od dołu próbują czekanem. Coraz orda podbiega i podpały kładzie. Że podżarzy ten gródek, rozumie. Alić glinna nalepa namarzła twardo lodem i nie daje.

Teraz te wieżyce na wielbłądzich barach podjeżdżają. To owdzie, to indziej. Poryk z nich idzie, rżawa paskudna, strzelba bezprzestanna.

A sędomierczyki na nich smołą pałający, ops!

I wapnem nieugasistem, i głazem, i pociskiem wszelknym, uj-ha!

Po dwakroć, po trzykroć! A naści, a odstąp!

Prycha, miażdży się i rozpryska suczyne plemię, atoli na jednych flakach rozprysłych inszy zdrowi następują.

Ledwie gnojarz taki na ostrokół podlazie, już mu główkę na płask przygnietli. Gdyż jeno drabinę na parkan wyrzuci, hnet wskok odejdzie posoką rzyga.

Więc Tatarowie tak wymyślili: żeby sobie nad głową udziałać wielki sklep z tarcic i szczytów. Udziałali i tak zasklepieni postępują, rycząc. Kulesz wraz w te tarcice i kłonicami, i kamykiem, i masłem plugawem w sam raz! Poznał kocmołuch, że nie zdzierży, ależ siłuje jeszcze. I tak pierwsza niedziela tego obegnania przeminęła z Bożą i poczciwych zastępów anielskich pomocą!

A gdy druga niedziela nadeszła, zelżały ostre zamrozy. I wcale niedobrze to było, bo lód namarzły stajał na parkanach, a gęstokoły zwilgły i ciekły, już do podpału pochopniejsze. I też wiatr się odmienił, a to przenajgorzej było, bo go dal siebie mieli odtąd Tatarowie.

A tu naszy obegnańcy strzałki ostatnie liczą, a tu kusznych głazów brak i siły odpornej niedostatek. I też głód bierze moc nad nimi. Próbowali owszejki z bram wyciekać we zbroi i na rękę bić się. Może przebiją. Nanic. Zawżdy ich Tatar liczbą zaskoczył i rozsiekał.

A wtem piekielnik przynaglił jak najmocniej.

Przyprawy zgotował, jakich oko nie widziało.

Wory siarczane, żagwie zapaliste wyrzucał.

Oszczepami ciskał, które w kądziel owinięte były. A ta kądziel, smołą i olejem napojona, płonęła. A te wory smrodem dymiły.

I odtychmiast wcale kamiennym pociskiem nie miotał, jeno inszym, straszniejszym, dotąd niesłychanym.

A to tak było...

Z kusz tatarskich jęły wylatać, świszcząc, drewniane beczuły.

Naszy w śmiech, obyczaju strzelby takiej nieświadomi.

A oni trupiego, czy jakiego ścierwa do tych beczuł ciasno nakładli. Gdyż jeno owa chlupiąca skrzyneczka uderzywszy przepękła, już nasmrodliwszy cuch szerzył się wśród parkanów i spływał maślistą niekliną. Mgląca wonia osnuwała straże,

łuczników i panów rotmistrzów. Zielony, trupi miąższ bryzgał powszędy, chlustał w pyski i mglił. Którzy najtwardsze walki mieczowe zatrwać umieli rycerze, tego nie mogli. Coraz to zwalał się z parkanu jeden i drugi, chocia bez skazy najmniejszej, owszejki nieświadom niczego, zemglały. Szpaczkowi od jadu tego spuchła docna paszczęka. Już też inszy zesłabli. Gniademu Piotru strzałka ramię prawe podrapała i miał pół roty ubitej, Kulesz z udręki ledwie zipał.

Ano oni wtedy półtorasta drabin ku parkanom podwlekli. Powszędy pcha się robactwo i przedsię na blank skacze. Już dźwięczy miecz krzywy, o tarcze szczerbiony, już leci krzyk w niebo, bolesny. Jan z Bielan ostatkiem przyciska i spycha i paprochy plugastwu temu wypuszcza. Zepchną po raz, powróci, zajmą mu plac, odbierze. Ażci go docna wdół zbodli i już tam u niego siedzą na ostrojeżu.

K temu jak nie poczną do bramy wielkiej przeć! Tysiąc Rusaków z toporem podeszło. Ażtu sieką, ażtu rąbią. Pies jakiś ogromniasty biczem je pędzi i kłuje, a do naszych wykrzyka. A to był, na dziwy, sam Batu, ich khan najstarszy. Znamienny zaraz, bo trędowinę miał czerwoną na

pysku i powiechę włosistą, ku nosu mu chełtającą. Dał zaraz kaźń taką, by hnet imać to miasteczko. I, niedbały na pocisk, w osobie swej do bram postąpi i siecze we wrota srebrnem toporzyskiem.

Zaraz Gniady Piotr kuszę k niemu napina. A ten Batu do niego słowa jakieś wykrzyka.

Więc Gniady:

— A ty rzyć wielbłądzią w sedno całuj, nietworze!

A ten Batu:

— Wyście — pry — tacy i tacy... (ale jacy, tego nasi nie pojęli, bo po tatarsku skrzeczał).

Zaraz mu Gniady na to dołożył, że jest przyszychost i lepur i żeby mu żywo zagniła jego mać kobyla. Potem insze dodał słówka najgorsze i strzałkę wypuścił. Chyba, że go drapnęło, bo pianę dał, odstąpiwszy.

A oni podczas dziurę w bramie wielkiej wysiekli. I glinę powszędy obili. Wnet ogień wschodnie parkany ogarnął i czerwonym zębem przegryzał ostro kolczyste kłonice.

Wtedy naszy, bez wszelknej już strzelby będąc, zwątpili. Chyba książę krakowski o nich przepomniał! Co było jeszcze strzałek, to wypuszczono, co głazów starczyło, zepchnięto — i smołę

zagrzaną wylano docna. Chyba już Pan niebieski je opuścił!

Wnet pod taranem brama runęła.

I już tam nikt żywota sobie nie wymówił.

I zapłakała czerwonemi łzami Wisełka. Raniutko Tatar do miasta wszedł.

Topił krzywe szabliska w żywotach niewiast i grdykach ojców duchownych, dziecka hoszczepem kłuł, rznął na śniegu niewiastki co starsze, a młódki, otroki wiązał i na boku kładł. Aż wykłuł, wyrznął, powiązał do znaku.

Dzionek zaś był jak raz popielcowy, ten, w którym od porodzenia Pana Jezu Krzysta lat dwanaście set i czterdzieści i jeden przeminęło.

Na koniku czarnym Siegniew drogą gnał. Od szydłowskiego jadąc miasteczka, już minął był Skalmierz i Działoszyce i do Krakowa prężyło mu się. Bo tak chciał, żeby żywo dowieść tę psią rybę tatarską, jąż za nim na wozisku trzymali.

Jadąc, wspominał, co było, cale nie pojmując, jak na to przyszedł, iże żyw wrócił między swoje.

To wiedział, że w Sędomierzu wdół skoczył z ostrokołu płonącego szalony i że mu tama ogniem w pyski plunęło, zamdliwszy.

To pomniał, jak po rozwarciu oczek Tatarów ujrzał naokół, którzy go wiedli w pokwapie i karmili. A potem Rusaków nań dali, prawiących, że albo, psi synu, śmiercią zabit będziesz, albo ty nama ścieżynki różne odkryjesz!

— Poznasz ty wosk, piekielniku! — pomyślał i przystał.

Więc oni na pętlę brali go i coraz przedsię pędzili wedle ścieżynek owych. Przeróżnie tam biegał na przeszpiegi, tu z gromadą, indziej samoczwart lub i samowtór. A niedługo to było, z wejrzenia Boskiego. Raz bo chwilę zachwycił sposobną, stryk zszarpał i zgryzł, a zbójcę, jenż go gnał, w dochwytkę jąwszy, zmógł.

— Pomóż dokończyć, miła Panno Maryjo! — westchnął i w kałdun kopnął Tatarzyna.

Łotros zamierzchnął w oczach, padł. Siegniew duchem oprawił padłego. Tąż samą pętlą spętawszy go wybornie, w pyski błota napluskał i pakłaków dał. I do konia przytroczywszy, pognał hen na przesiły. Obrzeżem lasu i manowiskami popędzał, uciekając.

Zawczora działo się, jako do swoich był dopadł i we łzach witał łuczników, wojów krakowskich, dopadłszy przed książęciem ukląkł, jenż stał w szydłowskiem miasteczku, w obozowisku ze zbroją wielką, a na chorągwi ptak biały, piastowski, polatał rozszerzonemi skrzydły. Przywitał książę wróconego i ręce łamał, a to nad utratą grodu sędomierskiego, a to nad utratą rot. Potem Tatara spiętego obzierali i wraz książę na to wspomniał, co był obiecał macierzy swojej, jako pierw-

szego niewolnika cało do dom poszle. Więc tak Siegniewowi rozkazał:

A też niech tam doda, że książę ninie bitwę pieszą wydaje Tatarowi. Największa będzie ta bitwa, uderzą roty, ze wszech zespolone, krakowskie, sędomierskie i najemne, i owe, przez jejmość ducissę fundowane. A z niemi książę pojedzie, pod skrzydłą ptaka białego na chorągwi. I dać Bóg, że zmogą. Więc niech ducissie jasnej, najsłodszej, pokłony odda niskie i o paciorki uprasza.

Aż zatchnął się Siegniew z tej pociechy.

Owaciem ujrzy tę, jąż umiłował cicho w serduszku swojem.

I w sowit nagrodzon będzie, koli nań pojrzy królewna nad królewnami.

Bo gdyżby mu serce żywiące wpół rozkroili, jednoby tam słówko nalezione było: ducissa!

Gdy z ostrokołu skakał, widział ją.

Gdy ogniem duszony o ziem padał, widział ją.

Tej dla dożyć chciał, jąż miłował nieugasiście.

Temu k woli do Krakowa gnał. Duchem i ptaszkiem radby, aliści rydwan nie nadążał, wlokący się niedbale. W odwieczerz bramy krakowskie osiągnął. A tama im truchło było, w niewiedzy.

Już ci stojały powszędy bryki upakowane i kolaski gotowe. Już też niektórzy drzewiej w asy pomklli.

Zaraz duszka zapłakała w Siegniewie, bo nie znalazł tu wcale ducissy. W okraje dalsze pojechała jest. Więc w żałości chciał chlusnąć śmiertelnie Tatarzyna, jegoż hnet otoczyła ciżba niewiastek, tyrpająca. Lecz go dworacy na komnaty wiedli, kędy chciwie czekała rejencicha. Utwierdził ją na duchu i dobrą wieścią napełnił: już tam im naszy ostatni dech biorą.

Potem rozkazowała pani Grzymicha postawić niewolnika tego przed oczy swe, ciekawa, jakiby on widny był: człowieczy czyli djabli, kozi albo li wężowy. I siadła w stołek czekająca. Przywiedli ścierwo kudłate, rozpętane. W obliczu skośny, pod okiem spuchły, głowę pokrywał kłobukiem futrzystym, ramioniska skórą jeleniową.

Wołała, niech zdzieją zeń to wszystko. Zdziali docna, zaś ociec Przebor przykrył łoktuszą co nieco Tatarowi płeć jego człowieczą. Tak stanął wszem wobec czysty w skórce jasnej, bialuśkiej, w piszczelach twardo sterczących i szczeci czarnej, na przypiersi porosłej. Wzięła pani obzierać zbójcę powszędy i nieco stukała go laszczką to po barach wzniesionych, to po łydach mocnych, dosta-

łych, to po udkach krótkich, półkolnych, rada. Jeno temu dziwowała się najbardziej, iże Tatarzyn ten, gadkom naopak, toż samo nosi postawienie członków, jako i mężowie pobożni, chrześcijańscy, a wcale nie objawia tego, co mówili, pagórka śmierdzącego na grdyce. Chciała go jeszcze w tę szczeć spróbować, jąż na przypiersi porastał. Tej aliści dotykać zapowiedział Przebor, pokornie błagając. Bo nużby tam jaka mastyka jadowita skryta była?

Potem wszyscy ujrzeli, że w biodrach ma ten Tatar wciętość kształtną i dziwną, gdyby niewiastka. I zaraz odskoczyli wdal, żegnając się, albowiem Przebor przywiódł był im na myśl słówko owo z pateryku: *diabolus in cingulo gracilis*, co się wykłada: kształtny djabeł w pasie! Więc dalej w strachu wielkim patrzyli, jakie plecki ma. Miał je zupełne. Czyli w biodrach światłem nie zaświeci? Nie zaświecił. Czyli od bioder smrodem nie zakurzy? Nie zakurzył. Ani żadnej takiej makuły nie miał na skórze swojej.

Teraz dworki w prośby poszły do Grzymichy, niech ta przyzwoli dźgnąć go kolcem w cielsko, iżeżby głos tatarski usłyszały. Alić jak na początce, tak ninie, dźgany Tatar nie wydał słowa nijakiego.

Jeno białe zębiska lściwie k sobie ścisnął i w tej najwzgardliwszej postawie trwał.

Potem radę złożyli, coby z nim czynić. Starost grodowy z Przeborem rzecz przedkładali. Bo żeby go na sądy Boże wieść, niegodny. Albo li czartu wzdać na ofiarę, ale jak? Chyba go kołem połamać od stopy do głów, albo wyjurzyć, a oczy z jęzorem wyjąwszy, do gorącej wstawić wody? Jeszcze inak radzili: niechby oburącz i obonóż mieczem obciąć, miodem namazać pyski i tak go na mrówki posadzić, hę?

Nad tem długo dumając, zamknęła radę Grzymicha:

— Wierę, niech mi na koniku pojadzie!

Wnet gadka poszła o tem najszersza po dworcu, po grodzie i mieście. I zewsząd przybiegła ciżba ciekawa.

A oni konia ogromnego na dziedziniec wawelski wiedli. Był ci on cały z blach żelaznych sztucznie uklepany, a w wnętrzu mieścił palowisko wielkie. Nad tym koniem stawili wisielinę szubienną z jedliny, tak, aby ramieniem swem posięgła powyż potworu żelaznego. Potem do brzucha żelaznego kładli szczapy smolne i cały stos drzew, które dobrze rozpalili. Z pyska i nosów konika

jęło wnet kurzyć dymem, jakoby z kuźnicy, a blachy żelazne, zetknione z ogniem, stękały. Bosonóż spętanego wzięli biedaka i na plac wiedli. Konik żelazny, coraz i coraz kłodami podsycany, rozgrzał się już wybornie. Napośród śniegu białego ryły się jego kształty ogniste, pulchne, syczące. Pierwszy rozgorzał grzbiet potworu, dotychmiast w mroku niewidny, potem zad krwawy wychynął z ciemności, zaczem igrające płomyki rozbiegły się po karczydle, na którem tkwiła jakby ogniomiotna kulbaka. Nakoniec sczerwieniła się paszczęka i wnet cały ten haniebny nietwór rozpłonął, świecąc się w mrokach, na obraz smoka piekielnego. Iskrami w ciemność prychał, w brzuszysku głownią trzaskał. To szarzał, gdy wiatrem powiało, to jarzył się, bo podpału przydano. Na wzgórzu było jasno, jakoby w kupalną odwieczerz.

Oblana smugą czerwoną, czekała tłuszcza w oskomie, widoku chciwa. Tatar, konia gorącego ujrzawszy, pojął, zadygotał i ścirpnął. Mimo ziąbu wietrznego rosa zeń ciepła kropiami. Pachołowie zasię przycisnęli go najmocniej, żeby snadź w wilkołaka odmieniony nie był. I przykazu dalszego czekali.

Tu starost ogniowy pierwsze słowo dał.

Włożyli mu na ramiona żelazne obrączki, potem je do łańcucha wisielnego przydali i tak na kran ciągnęli. Hnet zawisnął wysoko nad czerwonym smokiem wprost, ramionami wzwyż, nożyskami wspód, tak gotów, że gdy go wdół opuszczą, w sam raz na gorejącej siądzie kulbace.

Tak bujał. Biały i truchliwy w obliczu męki, coraz wargi kąsający, z których posoka z pianą szła.

— Uj-ha! — jazgotała tłuszcza, widoku chciwa.

— Hnetki pojadzie! — wołał Siegniew, oskomliwie w tarczę stukający.

Pachoły łańcuch prężyli, kaźni czekali.

Teraz starost ogniowy drugie słowo dał.

Puścili.

Ryk wypadł nagły, okropliwy, jakoby z dziesiątej gardzieli wilczej. Z którym zaraz pomieszały się ucieszne, nasycone pokwiki tłuszczy. Ze zwierza iskry poszły, stanął w dymach i znów rozgorzał. Na karku hycał mu Tatar trzepiotliwy.

— Uj-ha, eja-hi — wyła tłuszcza, charkocąc. Tatar paszczękę na ścieżaj, ozwarł i rykiem żygał. Głową, podołkiem, kolanem i udem, piszczelem każdym, członkiem wszelakim trząsł, tłukł i miotał. I wściekłym bluzgotem z gardzieli pluł. Jak kiedy w kniei psy żrą żywy flak jeleni, tak jemu

ogień krzekcąc uda jadł. Szalone cielsko kolebało się tam i sam na gorącej siedli. Dygocące, sprężone i rozprężone, skwierczące, żywo pieczone, całopalone. A wonia mdła i słodka w tłuszczę pobiegła.

Gdy już ten trzepot z dygotem widny był, wołano:

— Owa, już jacha, na koniku jacha, hej!

Aliści bali się rycerze, aby nie był w tym poryku jaki śpiew czarnoksięski, tatarski, z którego szkoda dla plemienia chrześcijańskiego przyść może. Więc ociec Przebor, kropidło w wodzie święconej zanurzywszy, mocno ku pieczonemu bluzgał. I widno nieczysta rzecz była, gdyż ileraz kropia na kulbakę padła, zaraz coś tam krzektało i dymem białym kurzyło. Gdy poryk Tatarzyna zelżał i chyboty, dodano podpału konikowi, aby nie ustał w czerwoności.

Lecz już ten jeździec bolesny przycichł i barwę odmienił. Zetlał mu docna kłobuk skórzany i kudły płonęły spienione. Już pyskiem skręconym nie ruchał, ni plecką, na kość uwędzoną. Ostatnia posoka jazgocąc smażyła się na udach, chciwie ogniem chłeptana. Jeszcze nogę jedną z kuny wyrwał, śmigocąc pozdłuż gnatem krwawym, osmolonym.

Lęcz głosu wcale nie dawał. Cich siedział na kulbace, czarny, pogięty, do pół mniejszy, upieczony. A zmysły wszystkie w nim umarły.

Tłuszcza, widoku syta, chwytała nozdrzami słodki swąd...

Tu znagła dzwony trwogę zawołały. W zwierzynieckim kościółku poprzód, we franciszkowej wieży wtór i w inszych razem też.

Na niebiosach pokrwawa ognista błysnęła. A ludkowie jacyś dalecy czy ode Pinczowa, czy od Działoszyc, wjechali w miasto na woziskach, w otoku dziecek krzykliwych i wśród wardęgi ryczącej. Za nimi gońce przybiegli z bojowego placu, zjuszeni, chąziebni. Widząc pokrwawę na niebie ognistą, słysząc te dzwony, trwożnie wołające, ciżba z dziedzińca precz poszła w krzyku.

I strach ostatni wziął nad nimi rządy.

Zaś późno w noc, w pierwosny, powrócił i książę z bitwy. Bez stróży był i ozdoby pańskiej. Samoczwart przygnał, w dochwytkę, poprzez karcze, manowiska. Z nim razem ptak biały na chorągwi, alić bolesny, ze skrzydły zwiniętemi. Co jeno dobył się Bolko z prażma i ulewy krwi. Ledwo żyw, z męki siny, zwalił się na tarczyn w kom-

mnacie. I w ciężkiem wzdychaniu toczył łzy swoje, gorzkie, zawściekłe.

A ci czterej, co wraz przygnali, — oszpaceni i w oczach zamierzchli, — dysząc, wykrzykali bez poładu słowa rozmaite:

— Że to już gańba ostatnia i zgryzota! Bo hnet z pogonią biegną tu za nami! A ilko chce złego słyszeć, słyszcie. Tak pan Pakosław, jako i Włodzimierz ubici. Okropa! I pan Klimek z Ruszczy też i Raciborowic Jakób! — A Stamposzyc stareńki? I Stamposzyc też. — A Sulkowic? I Sulkowic zabit. W gęstwie strzał Bogu duszę oddawali. — Juści nanic! Bo też inszych dusz zabita ilość niepoliczona! Najmici w jęctwo poszli, przybór w perzynę. Widno, że z tego grzmienia kotłów tatarskich czar wyszedł i nama miecze potępił!... I to mówili, że do południa zajdą tu na Kraków.

Potem im wszystkim krew w żyłach zawięzła i płakali.

K temu powstał książę dostojny, w oczach krwawy:

— Wobiasz tu do mnie chłopaki. A cóż? Chyba nam ninie w obcy kraj!

I płaczem ryknął.

A kiedy słonko rankiem zajrzało, już tam

ich nie znalazło. Którzy jeno żywi byli ludziska, precz pobiegli w las i okraj daleki. Jakoby trwożna złaja owiec gonili.

Odeszedł pól miodnych bartnik, zdawna osiadły, i kmiecie, puszczy dziedzice.

Mknęły na brykach zawinięte siostrzyczki norbertańskie z konwentu, ze strachu stygnąc po drodze.

I szpylman umykał z gospody i pleban porzucał kościołek.

Ziem cała biegła przedsię w zgryzocie. Nie krakowska sama, a wszystka wiślańska, polska. Konradus pognał z synkami. I pani Grzymicha z pieczęciami. I chromy gwardjan franciszków. I Siegniew, jenż miłował chąziebnie. I Bolko naposlad ducissy.

Coraz hufiec tatarski następował. Sto tysięcy i pięć po dziesięć tysięcy, jeszcze więcej, przenajwięcej!

A potem poprzez roztopy szli oni i bagienne młaki, poprzez strumienie, wiosną huczące, i rzeki. Pod brzuchem końskim wiązali miechy, dziwnie uczynione i płynąc, szli.

Rozsypane stanęły miasteczka i odstąpiła

wszystka tej krainy chwała *et comederunt alii labores eius*.

Jakoby przewał deszczowy, który, z obłoków ciekąc, czyni potopy wielkie, z brzegów wylewające, a cokolwiek zasiągnie, z sobą weźmie i poniesie, jakoby kobyłka, albo szarańcz leśna na kłośną zielinę opadła, tak Tatarowie ziemię polską ogarnęli.

Stanęło im naprzeciw miasto krakowskie ciche, samiutkie. Gdzieby nie zajrzeć, pusto było i bezludnie. I tylko jeden ostał w grodzie człek żywy: w wawelskim stołpie wpośród jabłuszek leśnych w kłodkach zamkniony ociec Przebor, eremita.

Już wtóre lato siedział książę krakowski na dalekiej tuławie. Niby ten kłodnik w ciemnicę schowany, nieszczęsny. Ani on tam nie miał dostatniej życia używy, ani takiego miejsca swoistego, gdzieby głowę podkłonił.

Był w morawskiej krainie kasztel pewien mocny i skalny, w Buchlowie, jenż nad równiną daleką władał. Tam oni posiedli we troje: Bolko z żonką i macierzą — o pięć chyba konnych jazd oddaleni od ziemi swej i włodarstwa. I po haniebnej wędrówce spoczywali, na bezwieści, kiedy do rodzonych krajów powrócą. Owaciem odstąpili ziemi polskiej Tatarowie, ale inszy nastąpił. Poprzód Łysy Bolko, łotros wyborny, Kraków wziął, potem go Konradus przepędził i mocno się tam rządził, zaraz po Tatara przejściu główkę podniósłszy.

Alec na to nie dbał Bolko tuławy, ani go też

gorzkością nie napełnił Bóg. Na ganeczku kasztelnym posiadł się, rozpostarty w słonku. I poziera.

Powszędy trześnią kwitnącą bielało, wiosna była. Dołem w chłodniku pomykała ścieżynkami cesarzówna serca jego. Jakoby cudny uczynek Boży chodziła. Płaszczyk miała modry tej barwy, której niebo jasne. I szyjkę nosiła pomkłą, z okrągłych ramion wynikłą. I brodeczkę okrągłą i gardziel bielutki i brwi jako dwa sznureczki, pięknie zatoczone. Caluśka nito śliczne drzewo różane, gdy kwitnie, a tak wdzięczności pełna, iż nawet duchowie, którzy ciał nie mają, rozmiłować by się mogli w ducissie.

Jako jest studnica wodą wypełniona po brzegi, tak on był w oczach pełen żony młodej i nienasyt. Bo też — tak sobie ważył — ku czemu doszedłbym, gdyby nie owa guślniczka maluśka, miłowiewna! Ni ku czemu!

Za jej przyczyną wszystko działo się...

Azdali inak odeszliby Tatarowie?

Azdali bez jej pomyślenia ostałbym się wątpieniom?

I to jeszcze czuł, że do swej ziemi niewpierw powrócą, aż Cunegundis zechce i rozrządzi.

Juści dwu stajań nie uszedł Bolko bez du-

cissy. Czuł w oczach moce tajemne, nadwładne. Trwożny stawał przy niej, jakoby wieczyście zapisany. Wszystką chełpę zdeptała w nim i pychę, nachyliwszy go ku pokorze.

Lecz nie znajdował miłości, jakiejby chciał. Niedosiężna dlań była, nigdy jeszcze dotkniona, *dignissima*. Rozkazała tak, aby przed jej obliczem stał zawsze od cielesnych zamysłów daleki. I stał daleki. Ani też przenigdy o tem napomykał, czyto spojrzeniem, czy pytaniem rozmaitem. Taką go mocą związała. Biało-czy czarnoksięską, hej?!

Ilko razy układał, co jej powie! A to, że do żon cudzych pójdzie, jako małżonek, a to, że się ku nierządowi uda, w jej sercu przytulenia nie mający... Owaciem przenigdy tych słówek obiecywanych nie wysupłał. Do leków uciekał się, do gwiaździarzy. Radzili mu nagabywać żonkę wonczas, gdy słonko wejdzie pod znak strzelca, który jest przyrodzenia ognistego. Radzili mu popróbować z wiosną, gdy krew się w ludziach mnoży.

Aliści gwiazdy nie miały mocy nad ducissą.

Potem smary tajemne w łożu czynił, zioła cichcem zadawał. Zajęczy mak i piołunowy od-

war z lebiotką, jeleni język z kadzidłem białem pomieszany.

Aliści zioła nie miały mocy nad ducissą.

Już i Grzymicha dworować wzięła ze synala. I pobudzała i szepiutała mu zgłobliwie:

— Ty zaś tam cale na ślubiny owe i obiecywania nie dbaj. Co ci tam... Nie poszli, jako iść mieli do Ziem Świętej rycerze, więc już te kręty rzymskie ninaco... O synku, ażebyś go miał pomyśl... Chybabyś niezgułą był, kwasigrochu! Et, co ci powiem, na przesiły głupicę bierz!

Rozumiał dobrze biedaczek, że tak nie będzie i dalej potulen stawał przed obliczem żonki, w które i spojrzeć nie śmiał bez dygotu. Jeno tak pytał żałośliwie:

— I długoż tak serduszko wasze zetrwa? Żalim ja dla was kto, żali niekto? Chyba, iż cale miłowania ludzkiego nie pojmujecie? Powiedzcie?

Wtedy ducissa, najsłodziej patrząc na małżonka swego, obiecywała mu po śmierci wieczną szczęśliwość niebieską.

Więc konfessora namówili, jemuż grzechy wypowiadała. Niech ją z tych obaw czartowskich rozgrzeszy, mówiąc, co też małżonka powinna jest małżonkowi swemu. Ten ci długo rozwodził. A czyli

chowa przykazania Boże? Odrzekła: chowa. A które ósme będzie? Ósme będzie: „Nie czyń grzechu nieczystego, krom urzędu małżeńskiego“. A gdzież ten urząd? A któż urzędnik? Jeszcze na to udezał, jako dana była w małżeństwo książęciu, jegoż, jako oblubienica, jawnie przyjęła przed Bogiem. Zasię oblubienica dziecka rodzić ma, czem zbawienie doczesne i wieczne pozyska, a księstwo od sieroctwa wybawi. K temu przywodził z Pisma różne święte i uczciwe przykłady. Tak Saara porodziła Izaaka, Rebeka Jakóba, Rachel Józefa, Johelet Arona i Mojżesza, Anna Samuela, a kogoż Elżbieta? Owo Elżbieta porodziła bardzo świętego Jana Chrzciciela, nad którego nie powstał nikto większy pomiędzy synami niewieścimi. A cóż myślisz te świątobliwe przedbabki twoje, Hedvigis i Elizabetha? Owszejki dość dziecek rodziły i we wielości, a wżdy święte stoją w triumfującej cerkwi Bożej. A tak i ona powinna. I żeby się już więcej od tego wywikłać nie ważyła. A to pod ciężką duszy przewiną. Amen.

Cunegundis długo słuchała, rozważała. Nie nowotne to dla niej było, które Grzymicha jej codzień w serce rzucała. Potem ciałem Bożem oprawił ją konfessor i odeszła. Sromięźliwa, łzami na-

znaczona. Bolko z panią Grzymichą czekał jej przyjścia w komnatce.

Postąpiła, rączynę doń jakoby poniewoli wyciągnąwszy. Chopił się i przyklękając całował.

A ona:

— Gdyż to Bóg miły da, że do swej ziemi powrócim, wtedyż...

Tu się różańcem pokryła:

— ... wtedyż, postąpię wedle chęci waszej i przykazowania Bożego.

...A gdy to mówiła, słyszeć dał się znagła pogłos trąb na zamkowym dworcu. Głosiły gościnę jakąś, zwiastując zbliżający się poczet jezdny do kasztelu. Troje państwo wyjrzeli okieńcem.

Dołem, drogą bielącą na podskalu, sunął wolno długi, widny zdala orszak. Była w nim piesza wielość ludzi ubożuchnych, bardzo umęczonych, a dwa pojazdy jakieś wlokły się wśród tłumu, jenż cisnął się gęsto im na pował. Hnet Bolko rozeznał, że nie są zbrojni ani pańscy ci ludkowie. Przecz jednak we wielości takiej idą śpiewający? Bo wszyscy mocno śpiewali. A przyśpiew ten dziwny był, jakoby do chichotu jazgotliwego podobny. Już chciała pani Grzymicha rozkazać, by pieski spuszczono, lecz pozierała jeszcze.

Podczas śpiewy te rosły, odmienione teraz w hymnę trwożną i pokutną. Już i okiem dostrzec można było śpiewaków. Wtedy skrzykła pani Grzymicha, a Cunegundis zatchnęła się w przerażeniu i wstydzie.

Bo ci ludkowie nadzy byli do pasa i krwią ociekali. Dwunaście niewiast szło poprzód i mężów dwunastu, w cztery rządki po sześcioro. Oblicza mieli wyonaczone, szmaciskami okutane, włos powichrzony. Każdy z nich dzierżył oburącz krótki, kolczasty rzemień i smagał nim co siły tego, jenż przed nim stąpał. Tak siekli się wszyscy po żywem ciele, mąż i niewiasta, bezprzestannie, wzajemnie. Po nagich piersiach i kościstych, żółto w słonku błyskocących ramionach, toczyła się strumykami krew, kapiąca w przydrożną kurzawę. Z poświstem siekących kańczugów szedł pod niebiosa ten śpiew, chichotny, przestraszony. Wpośród ciżby następnej jechał rydwan płaski, otwarty, z księdzem, klęczącym pośrodku. Ksiądz ten nieruchomy, rozmodlony, trzymał pobożnie skrzynkę jakąś. Przy rydwanie biegły samoczwart niejakie brudasy ohydne z pyskiem, szmatą zamknionym, a każdy taki unosił w swych łapsku drzewce świetlistego baldakinu, który łopotał powyż klę-

czącego, złoty, drogo haftowany. Ilekroć rydwan po drodze przystanął, ciżba wszystka klękała naokół z przyśpiewami i pokłonem.

Widząc to, Cunegundis i Bolko zaraz przeżegnali się, poznawszy, że musi ksiądz ten trzyma jakieś relikwje prześwięte w swych ręku. Naposład wszystkiego kolebka niewielka toczyła się, a jeźdźcy zbrojni tuż przy niej. Z tych dwu przodem pobiegło i ku zamkowi cwałowało.

Hnet dostrzegł był Bolko, że mają na swych tarczach oznaki książęce, tedy hasło dał mostu spuszczonego.

Gdyż byli blisko ci jeźdźcy, wtedy na ich tarczach ujrzano bardzo znajome zawołania: krzyż pochylony po lewej, ptaka białego po prawej.

Grzymicha z Bolkiem spojrzeli najciekawiej, wiedząc, jako są te znamiona panom Arpadom i Piastom właściwe.

Zaczem w dół kasztelu pobiegli.

I wkrótce wychynęła z kolebki niejaka bosonóżka w karpielach, jak kul słomy żółtawa. Ni to klasztornica była, ni płaczka bolesna. Krwi swej dawno nie znały jej lica, a wargi spękane drżały w poszepcie pacierzy. Oczy czarno okolne, zapadłe, błądziły gdziesi, nie widzące. Drzewiej może

urąpna była ta pani, ninie na skwarczek zeschła, ojesieniała. Byle jak kirem okutana, chyba z rąk swoich kształtownych ród ukazywała. Nie miała wyżej trzydziestu latek, alić szła jakoby pomkła w latach starucha, zwiśnięta na lasce i ramieniu pachoła.

A nierychło to przyszło, nim w tej chudzinie żółtawej, w tej bosonóżce zeschniętej rozpoznał Bolko swą siostruchę osobną, jej miłość ducissę halicką, która dana była w małżeństwo Kalmanowi, księciu na slawońskim kraju.

Ujrzawszy, chopiła się do macierskich nóg i rzekła szeptem pacierzy:

— Spokój domkowi twemu macierzo i twemu miły braciszku, i twemu, miła żełwico!

Długo pozierała Grzymicha, nim krew swoją rozezna.

Długo patrzyła Cunegundis, żełwicy nie myśląca.

Zaczem myśleli, a nie wymyślili:

Czemu bolesna jest taka, czemu bezkrwista i czarna jako jastkolica?

Chybaby ją żebracy leśni opadli, podrapali? Albo li z tatarskiego jęctwa wracała wyzwolona?!

O to, krzycząc, zapytywali.

Na to pani Salome, w uśmiech smutny spowita:

— Ani mię Tatar w jęctwo wziął, ani leśni opadli zbójcy. Jam ci jest niegodna służka Krzystusowa. A o to napierwej was proszę, poklękajcie i troje Pozdrówień odmówcie. I też przez doby trzy post zachowajcie, strawy żadnej nie biorąc.

Zgniewana o taką mowę, fukła głośno pani Grzymicha i pytała, pocoby ten post był?

A Salome:

— Iżbyście, ludzie grzeszący, cześć oddali tej kosteczce pana Szczepka świętego, jąż z sobą wiozę w skrzyneczce.

Klęknąwszy, zmówiła Cunegundis z Bolkiem troje paciorków, rejencicha zasię ostro głową swą kręciła.

Podczas pieski na dziedzińcu ujadały najgłośniej, próbując po łydach biczowników, opędzających się krwawemi rzemieniami.

A Grzymicha:

— Zawitaj mi, córucho, chocia w tym niekosztownym orszaku!

Potem prosiła ich pani Salome, iżeżby Spoczywanie wieczne mówili, które niech Bóg da Kalmanowi księciu w żywocie niebieskim. Tenci

bowiem pomarł jest przed czterma niedzielami z wojennej udręki, a teraz w czyścowej męce pogrążony.

Pani Grzymicha litowała się bardzo nad córą swą ożałobioną, która nieszczęsna i wszystkiego pozbyta, od ziemi swej przez Tatary odłączona, jeszczeć i małżonka utraciła jest.

Znów ją rozpytywali, dokąd li dąży, co z sobą myśli, nieszczęsna?

A Salome, pojrzeniem w zaświatach utkwiona:

— Nie wiem ja tego. Nie wyrzekł jeszcze. Jeno kazał mi przedsię iść, a kosteczki w stróży mieć. Tu zaszłam do was, może ci dalej pójdę, jak rozkaz da...

Tu oni zadziwieni:

— Któż wam rozkazy dawa, siostrzyczko?

Nie rzekąc, nakreśliła pani Salome laseczką na ziemi znak niejaki, a Cunegundis zaraz poznała, że był w kształcie tej litery abecadła, którą mianują *F.* Aliści nic z tego oboje nie pojmowali.

Więc Grzymicha:

— Któżci to zawołaniem owem znaczony?

A Salome:

— Onże, Franciscus święty!...

Wiedziała dawno pani Grzymicha, że pan

Franciszek, opat żebrzącej biedoty, pomarł był dawno w ciepłych krajach. Więc pomyślała z boleścią, że widno jakieś mnichy chytre zepsowały ich córę na rozumie.

Potem ją wiedli na spoczynek udręczoną i stawili łoże, aby miękie i godne takiej pani udzielnej. Ujrzawszy, wzięła zaraz Salome precz odrzucać matrase i mięcienkie poduchny i tak długo je odrzucała, aż póki szczyra deska na czystem nie ostała łożu. Wtedy cisnęła tam mieszek niewielki ze słomą, i ten grubym popiołem po wierzchu osypała. K temu zawoła na dworki, aby świeczek przyniosły. Nie mieli tama świeczek, gdyż kasztel ten jeno piskorzem suszonym oświecon bywał w odwieczerz. Krzyczała bardzo, wołając, niech ta dadzą tego piskorza.

Teraz wraziła pięć prątków piskorzowych w kaganki, łuczywem je zapalając.

Więc Cunegundis:

— Czemu to aż pięć prątków zapaliliście, pani?

A Salome:

— Prze pamiątkę piąci ran Pana Krzystowych, jątrzewko.

A tamta:

— Chciałabych was, pani, jeszcze cosi pospytać, alić niegodnam.

— Pospytaj, junoszko.

— Powiadał był mi ociec Przebor po wiele razy o tem, jakoście, pani, z djabliskiem wojowali. Byłoż to tak?

— Drzewiej bywało, a jušci. Owszejki teraz cale nie bojuję. Ucieka on przede mną, ten mizguś kudłaty i nigdy mi szkody uczynić nie mocen.

W sam raz na dziedzińcu szum jakiś jakoby dżdżowy słyszeć się dał znagła, a też śpiew rozdźwięczał, tenże, co był w orszaku słyszany. To nadzy pokutnicy, we krzach podskalnych nocujący, oddawali Bogu wieczorne modły swoje. Przebiegał ten ich zaśpiew przez wszystkie ciemności nocne i trwożył ciszę kasztelu.

Wyjdzi z ciała drapanego
Ciesz się bolu okropnego
Krwie!
Która winy przemazujesz
Która niebo ukazujesz
Krwie!
Zbawi jęctwa piekielnego
Przeproś Boga nasroższego
Krwie!

Ty rodzona, ty gorąca
Krwie!
Grzesznem łonem popłynąca
Krwie!

A każdemu słowu ostatniemu jęk towarzyszył i zachęta, i mocny smagot świszczący. Skoro tylko Salome pierwsze słowa kantyku biczownego posłyszy, wraz jej oczęta dziwną nabiegną uciechą.

Tak, jakby od śpiewu tego szedł jaki powab przyjemny.

Jakoby w jękach tych rozkaz był dany konieczny.

I jeszcze jakby nowinę dobrą posłyszała.

Zaraz do skrzynki sięgła po kańczug srebrno kuty, a też zdziała z ramienia swoją czarną sukienkę. Z lękiem wielkim patrzyła na to Cunegundis. Najpierw spostrzegła, że nie ma ta księżna na swem ciałku ciasnochy należnie gładkiej, jeno twardą, grubjańską pakłakę z końskiego włosia. Tę zasię osuwała powoli do pasa, przytem ząbki zacisnąwszy. Tu aż zatchnęło dzieweczkę patrzącą. Albowiem ciało ducissy halickiej bardzo ohydliwe było. Caluśkie czarniawe od zakrzepłej krwi, też obłe, nadęte i na podobieństwo kory dębowej

popadane. Jakieś gruzły zesmolone, jakieś krosty a ociekliny niewysechłe pokrywały tam szyję i pierś zmiętoszoną.

Z podwórza znowuż dobiegały pogłosy ostrych smagotów i te plankty bolesciwe:

Zbawi jęctwa piekielnego
Przeproś Boga nasroższego
Krwie!

Natychmiast ujmie pani Salome biczyk ów z żeleźcami i tak pry do dzieweczki:

— Imaj to oburącz, a ile mocy masz, tyle we mnie bij. Boć już wołają braciszkowie moi.

Tu Cunegundis w płacz uderzyła, nie rozumiejąca, nie chcąca tego w żaden sposób.

A chuda pani ostro:

— Ten przykaz daję ci w imię dziewicy Boga Porodzicielki. Bij!

Wtedy ptaszyna, płaczu bliska, ujmie ten kańczug i zamierzy się, alić wnet z rąk go wypuści.

A tamta:

— Czyli wiesz, że nie bijąca grzeszysz ciężko? Nuże bij!

Więc biła. Lecz widno nie tak, jak chciała biczownica, gdyż hnet przystąpi, wyrwie kańczug

dziewczynie i pocznie sama trzaskotać się najmocniej tędy i owędy. Potem kłuła jigłą rany swoje i coraz nawoływała: „O boleści, o pieszczotko moja! o śmierci, bądź mi bardzo bliska!“ Tak to chłostała swe lędźwie, podudzia, chude w nóżkach kosteczki. Tak zapaliście, jakoby z potrzeby gorącej. A wkrótce z ran zasechłych dobyła się ryża krew i jęła pluskać, rozciekając po skórze. Strumyki owe dojrzawszy, wybuchła cierpiętnica śmiechem jakoby, ale bardzo okropliwym, i biła jeszcze, najmocniej. I, biegając naokół, płacz z tym śmiechem mieszała.

Podczas zmroków podskala ciągłe śpiewy ku niebiosom szły.

W kąt utulona, zastrachana Cunegundis patrzyła bez pojęcia, a ten był dla niej dziw największy, że wcale nie płacze pani Salome, choć krew bolesna z niej ciecze, owszejki jasna jest i okwita radością, a oboje oczu błyskocą w niej, jakoby za tę kaźń dziękowały. A potem padła o ziem, zachwycona. I już tak leżała w bezsile, niepamiętna. Na słomę spływały ciężkie kropie potu i krwi, z gardzieli wylatał dech twardy, świszczący.

Znów osłupiona stanęła Cunegundis, myśląc,

że może duszka tej pani chce już uciekać z cielesnego domku, zaczem szeptała paciorek za konające.

Podczas kantyki biczownicze na podskalu stały się cichsze i zmęczone. Już to nie śpiew był, a płacz ostatni:

Ty rodzona, ty gorąca
Grzesznem łonem popłynąca
Krwie!

Męczennica ozwarła oczy, nachłysnęła nieco wody, podanej przez truchliwą młódkę, i skronie natarła. A koli już lżej dychać wzięła, tak do niej rzeknie Cunegundis:

— Czemuż to, pani, tak niegodnie trapicie członeczki swoje ubogie? Czemu ból sobie czynicie najokropliwszy?

Wraz biczownica pojaśniała i zaiskrzyła się w twarzy:

— Hej, młódko bezumna, cóż wiesz? Tochto nie ból jest, a duszy pocieszenie... Jaże nie mam się trapić? Mało jeszcze trapię, mało krwi z siebie wołam! Otom jest walecznica Pana Jezu Krzysta, otom miłośnica, Boga żywiącego nigdy syta! Mam ci ja obiecywaną nawyższą szczęśliwość niebieską

i wcale mi nie straszna godzina sądu idącego!...
I uciekają ode mnie ponęty cielesne!

Potem dźwigła się i z mocą wielką, promienista wołała:

— Pojmiesz ty, junoszko, co mam jeszcze z trapienia tego? Cale i nigdy nie pojmiesz! Mam to, iże widzę jasno rzeczy niejakie, które będą dopiero. Ja osobna widzę, nikto inny!!! I też dzierżę moc pewną, nawyższą i rozkoszną...

— Jakaż ta moc? — wyszeptała tamta bezgłośnie.

— Hej, jaka moc? Tajemna, ludziom niedosiężna, Boża. Z tej krwi bolesnej rodzi się ona, z udręki.

Te słowa rzekła w nieukoju wielkim; widno jeszcze nienasyta była męki swojej. Więc klęczkiem o ziem padła i rozkazała podać ogienek z kaganka. Przyniosła Cunegundis prątek piskorza, płonącego jasno, i znowuż uderzyła w płacz żałośliwy.

A Salome:

— Cichaj mi zaraz, głupko miła, a jeśli chcesz, bym chęć ku tobie miała, to klęknij i mów te słowa, jako ja: Zdrowa Maryjo, miłości pełna, Porodzicielko Boża...

Dzieweczka, tocząc łzy, wtórzyła:

— Zdrowa Maryjo... miłości pełna Porodzicielko Boża —

podczas pani Salome płomyk żarliwy pod krwawiącą pierś swą podsunęła, z oczyma przymkniętemi i ze słowy płynącemi:

— ... pożegnana ty między niewiastami...

Rozjadzona krew skwirczeć jęła głośno, a twarzą ducissy miotał ból nowy —

— ... i pożegnany płód żywota, Jezus,

Teraz prątkiem gorącym biodra parzyła, aż ciało w zgorzel szło. Ręce jej drżały, ząbki stukały, usta mówiły:

— ... który przyjdzie sądzić żywe i umarłe przez ogień.

— ... który przyjdzie — wyszeptała Cunegundis wtórząca i wraz osunęła się na ziem zemdlona.

Gdy się potem ocknęła, pani Salome leżała na swym mieszku, a z łoża jej szedł pojęk cichy. Słyszący go, pytała:

— Wierę, płaczecie, pani?

— Płaczę, milutka.

— Prze jakiej rzeczy płaczecie? Czyli z tych zgorzelin bolesnych?

— Prze grzechów ludzi na świecie płaczę, milutka.

— Poduchę wam podam, boście bolejąca.

— Nie potrza. Mam ci ja najsłodsze poduchy a matrase, obiecywane w wiecznym żywocie.

I zwarła oczy udręczone.

Cunegundis długo uśpić się nie mogła. Od rozmaitych pomyśleń łomało jej w głowinie. Wspominała słowa, przez żełwicę rzeczone, i męki jej okropliwe. Jakaby ta moc być mogła, „nawyższa, ludziom niedosiężna“, jaka? I skąd to lza człowiekowi „płakać grzechów nie swoich, a ludzkich na świecie“?! Najbardziej tamte jedne słówka kołowały jej w myśli, o ponętach cielesnych, uciekających. Obruszyła się na posłaniu i ważyła to bardzo mocno, do snu wcale nieskwapliwa... Potem co nieco wychynęła z pierzynek, bystro patrząca, czyli śpi Salome. Najciszej, na paluszkach postąpiła ku kagankom, kędy dopalały się prątki piskorza. Zdziała raźno ciasnoszkę i prątek pod paszkę sunęła. Zrazu trosiuchnę, zaczem więcej. Płomień osmolił kwitnącą skórkę dziewczyńską i, krzekcąc, jadł ją chciwie. Lecz młódka zacisnęła się najmocniej, aby snadź sykiem, albo ząbków stukotem nie ocknąć spoczywającej. Potem wtórą pa-

szkę podżarzyła i wróciła w łoże, rada wielce tej pierwszej męce i bólowi, jenż piekł ją i swędział po ramionkach.

Gdyż świtało, przebudziła się. Pani Salome leżała na swym mieszku z oczyma zbudzonemi. Patrzyły one przedsię, takie dalekie jak wczoraj i jeszcze dalsze, widno w zaświatach drogi szukające.

— Hej pieszczko milutka! — ozwała się — obacz no, co dojrzysz na mych ręku?

Podbiegłszy, ujrzała Cunegundis na ramionach męczennicy wśród zgorzelin i biczowych sińców świeżo nabiegłą pręgę czerwoną, nakształt owej litery w abecadle, którą zowią *F*.

A Salome:

— Z Franciszkiem świętym mówiłam wiele o tobie!...

Sam jeden pognał książę w puszczę, szczwaczy nie brał, ani zastępu. Sam poszedł na przywitanie z lasem i pieszczoty. Trzecie już liście zmieniła dębina, trzecie rosochy porzucił zwierz płowy, odkoli tam bywał. W złotych okieńcach listowia śmiało się słonko zachodnie. Okrzykiem witał cisy, stare prabylce, i limby, babuśki roztyłe, nurzał się w haszcze i bobrowiska, pozdrawiał skrytki znajome, dróżki, sobie wiadome. Grzęznął w oparzeliskach od wieku spokojnych, obzierał drzewiejsze zasiadki niezmienione, poznawał łochwy niedźwiedzie, lisie komory, ptasznicze gaiki.

Idąc, wspominał co nieco. Hań był pierwszego tura wziął! haw żubra zdzielił pod bark, jeszcze słabiutko! Tropy znajdował i pądy, to zimne, to zwietrzałe, to świeże, którym folgował. Pałącznie z tchem powstrzymanym wbiegał na polanki, by

znagła zachycić oczyma to stado danielic pokracznych, to chmarę żubrzyc z ciołkami lub łaniek rudosukiennych. Rad był powszędy i łaskaw tym swoim leśnym poddanym, zwierzom płowym i czarnym, lasom zielonym i ciemnym. Udzielny, radosny, włodarski, gałęźmi w biegu smagany.

Wszystką swą krasą obfitą witała puszcz wróconego: odduchem sosennej wilgoty, dębowych koron poszumem, przelotem orłów srebrzystych i truchłym bekiem łoszuków, wygnanych z ciepłego potrawu, i zgłobnem ślepiskiem rysiów, skrytych w rosochach buczyny. Zabiegły w głębiel daleko, już minął był knieje podszyte i młode pólka ptasznicze i doszedł w jary znajome.

W czeluści jazgotał strumień, toczący zieloną pieninę. Przypomniał książę, jako tu zawdy czatował na łanie, pić wdół schodzące, jak w śniegu czyhał na rudle sarn u przerębli, jak tu najsnadniej łosia dopadał. Zaszył się w trawy wysokie, legł i nasycał knieją. Jakoby w puszczę wcielony, jakoby z lasem złączony.

Słonko podczas za poszyciem leśnem przepadało, a strumień markotny wzdawał mu na noc srebrne swoje blaskoty. Z gąszczy raz po raz wy-

biegały szare mroki, kładące się rządkami na zagajach i porębie.

Łowiec, zasiadły cichutko, poszukał wabików w podpasie. Jedne były z kurzej kostki na sarny, insze były z kory brzozowej na łosie. Wydobył, dmuchnął i łosim przyrykiem beknął.

Hnet przyszła z puszczy odpowiedź.

Jeszcze przywabił, łęki mając w napięciu.

W gąszczy łomało. Prasiasty łoszuk, głosząc się, sadził ku zboczy, ku księciu. Wysmyknął z lasu i chybko trawy rozchylał. Szarawy, mdły w sukni, jeszcze niewiele sadlisty. Łopaty dźwigał dłoniaste, sękate, u szyji dzwoniec chełtał mu kosmaty. Przystanął. Świece senne wyszczyrzał, łyżkami strzygł, pyzą truchle węszył. Hnet prześwisnęła strzałka trawami. W komorę wziął, wygarnął wzwyż badylami, zwalił się o ziem, ustał i padł.

Łowiec, łęki opatrzywszy, przywabiał dalej, teraz na kozła piskocąc z kurzej kosteczki. Zaraz bekot sarniuka rychło przybieżał z pobliża. I wysmyknęło coś z gęstwy i w trawę wpełzło.

Książę, strzału czekający, głowę wysunął.

A wtedy paździerze poręby zagrały śmiechem, świegotnym, bujnym, jakby niewieścim...

Nieczyste! Złe! Zbielał i trzy krzyżyki uczynił,

na czole, na uściech, na piersiach. I drżał, a palce dzwoniły mu na cięciwie. Chybaby ognica, chyba dziwożona!... Czyż?

Znów trawy, jako na harfie struny, śmiechem chąziebnym rozdźwiękły. I wychynęła z nich dziewczyna. Wzrostem sarence śmigłej przyrównana. Kwietna cała, czarnowłosa, postawna. Obliczko miała z malin, z jagód czarnych oczyny. Biodra skryła w szerzynce, na kolistych ramionkach pęczniał szmat zgrzebnej płacheci. Oburącz łagwice niejakie niosła. W przybiodrzu kształtna, w sobie udatna, gdzie spojrzeć, równiutko ciałkiem przyodziana.

Niepewny, z którego świata bieży k niemu dziewczyna, pozierał książę. Owszejki zerwał traw kępkę i we krzyż złożył. Tamta szła przedsię śmiało a chybko naprost majestatu.

Strzymał ją ręką zdaleka.

Wtedy o ziem padła i te pokłony, które są księciu udzielnemu pisane, wybijała.

To nikły w zielinie, to powyż traw blaskotały faliste kędzierze kłoniącej.

To nikły, to naprost księcia łyskały urąpne, zapaliste oczy.

Tu książę:

— Ktoś ty?!

Rozchłysnęła pośmiechem tym samym, bujnym, dzwonkowym, objawiając w gębinie koralowej kęsy, nito u rysia, śnieżyste.

— Leśnam jest, haj-wo! z boru miodnego.

Bolko groźnie:

— Wiesz li, kto my?

A owa poklękłszy, poda rączki przedsię i jakby w pacierzu zawoła:

— Zawitaj gospodzie, włodarzu! zawitaj miły, wrócony!

Lecz książę:

— Jak śmiałaś do mnie w pobliże? Winowataś jest!

Znów ona, łuną oblana:

— Rączynę miodu wam niosę, dań z barci, książęciu należną...

I postawiła łagwice, ku piersiom cisnąc płachcinę.

Już zelżał trochę, odgniewany.

— Tyś piskotała?

— Jaże...

— Tak godnaś zwierza przywabiać?

— A cóż, każdego przywabię.

— Postąp!

Z najpokorniejszą postawą podeszła.

— Skądeś?

— Leśnam jest, barci dziedziczka.

— A ojce?

— Tatar spięte popędził z wardęgą.

— Jakżeś ostała?

— Troki przegryzłam zębami i smykłam w puszczę, haj — tam!

Teraz pozierał na jej pulchne korzyści dziewczęce, na postać świegotną, jaskółczą.

I dworował, rzekąc:

— A cóż?... Chyba mi jaką koźlinkę przywabisz?

W te pędy złożyła gębinę rozmaicie i jęła piskotać w sposobie siuty gonnej, wybornie. To jeden raz, to wtóry raz, to trzeci raz. Aliści nic to znaczyło. W gąszczy, jak pierwej, stała cichość.

Więc książę znów, a już w chichotach:

— Idźże ciastucho!...

A ona:

— Boć już tu nie lza ich dostać. Zmieniły wodę od łoni. Gdybyć raczyli miłość wielmożna wyżej, ku wierzchu, haw.

Pobiegła przodem, w tropy jej Bolko szedł, dziwiąc się chełpie a śmiałocie. Śmigała lotem

wśród traw, chyląc się coraz po żubrowe zioła i wonne zielinki. Aż postąpili na mchową, czyrwoną murawę. Bujne, przewonne pażęcie wrzosów ścieliły się poduchnami. Z tych wrzosów i tamtych ziół usłała pościółkę, kędy legł książę, i tak prawi do niej, iżby piskała, a w pokryciu. Mikocąc sarnim głosikiem, przywarła dziewa do traw, tuż prawie. Aż biło k niemu rozżarem jej głosu i tchu. Jak gad czarniawy wiła się żmijka, przytulijka. Gdy załomało w gęstwinie, Bolko po sahajdak sięgnął, bo mu się był w murawę osunął; nie patrząc, ku niemu, posięgnął. Niechcący insze rzeczy tam natknął: żarzyste i trzepotliwe, łaskotne, tu przegładkie, tam obłe. I miątką wonne, i wrzosem wonne.

Lecz przedsię wciąż patrzył, ku zwierzu. Zwierza nie było. A te żubrowe zioła i te wrzosy czyrwone już dziwną osnuły go wonią. Mocne snadź były i jadowite, skoro książęcia zemgliły.

W głowie mąt uczuł, serce gorące pod piersią. Słodki powiatrek igrał trawami, śpiewając dniu jasnemu ostatnie pacierze. Mroczyło się w lesie i w księciu. Z traw blaskotały tem mocniej czarne świece dziewczyny.

Znów poigrała tym swoim śmiechotem pie-

szczącym, który już inszy był. Najśmielszy, wcale dufny, pokusę zadający, cielesny.

Dysząc posięgnął za siebie.

Wyśmignęła się chybko dzwonniczka. Lecz zaraz usty wrącemi przypadła do stóp włodarza, wonna, gorąca, cicha już.

Gdybyż posłyszał, jak w niej dygoce serduszko leśne, dziewczyńskie —

jak gore łono, dotąd niczyje.

A owo nie posłyszał! Poderwał się duchem najprędszym z murawy, od tych żarów uciekając i od korzyści.

Uskoczywszy gnał przedsię. W las pognał i puszczę. Najdalej, aby najdalej!

W murawie ostała dziewczyna, sama, zadziwiona.

Zaledwie do swej ziemi wrócony, zachorzał książę bardzo. Wężutki stał się, sucherlawy i w sobie oziębły. Trzęsawica brała go coraz i jakieś pyłgoty niedobre. Czyli może stąpnął gdzie na zioło jadowite, czy też mu szyrszeń w nyrkę wlazł, nie wiedzieć.

Wołali tedy na dworzec krakowski krwiopuskaczy i tych, co w gwiazdecznej nauce rozumieją. Którzy dawali książęciu pijać różnie z łagwicy, a też wcierali mu w kałdun olejniczki niejakie, a to żeby go z jadu złego ochędożyć. I też niejaki zaklinacz przychodził, co przemową leczy niemoce.

Bolko leżał i dychał. A jeśli w ten czas noc była, albo dzień, o tem nie wiedział. Ducissa przy łożu siedziała, na czuwaniu.

Czasem oczy swe ozwierał i, pokrywając bladość uśmiechem, szepiutał:

— Niech ta! Już też uczynię ślubiny owe, któreś ty chciała.

A potem mówił do niej dziwnie:

— Kinga!

Inszej zwidy przychodziły nań i omany, które go długo w mocy swej trzymały. Po dwóch niedzielach odeszły i zbudził się książę ukojony. I tak prawił cichutko:

— Co mi się w snach zwidziało, toć powiem, milutka.

Więc Cunegundis rozjaskrżona:

— Cóżby? Wyrzeknij.

I on:

— Widziałem pole wielkie i kwietne, a przez to pole ludzie w ilości szli. Ci chromi byli, ci głusi, ci nieszczęśni. A wszyscy, ile ich tama było, cosi nieśli w swych ręku bolesnego... I tak oni szli długo... Przez dwieście lat, przez trzysta lat i przez pięćset lat, a pozdroż coraz przybywało idących...

Tu ustał, w uściech zgorzałość czujący.

Cunegundis dała mu popić z łagwicy. I, żeby nie mówił, o to prosiła. Aliści rozprawiał dalej:

— Tak oni wszyscy k tobie podeszli, któraś na tem polu siedziała w wysokości. I widno

mi było, że przeto jedno tu szli, Kingo, ku tobie!... I tyś pozierała na nie, na wszystkie. A kogoś spojrzeniem objęła, ten pod stopy twoje układał, co w swych ręku niósł. A to było serce jego, człowiecze. Które, dotychmiast bolesne, teraz światłem rozbłysło. Tak oni znosili serca swoje i jasność z serc wstawała naokół ciebie rozkoszna. Wstawała wszechwszędy, daleko i blisko, wysoko i nisko...

Aż dworki weszły do łożnicy i było pytanie, czyli zaklinacz z przemową do księcia przystąpić godzien. Ducissa, patrzeć nie chcąca, odbiegła precz w przyboczną komnatkę. Taras w niej był z wyziorem dalekim na miasto i wodę, na oddal i łany zielone.

Podeszła, pchnęła okieńce, patrzyła...

Wszechwszędy szumiał zgiełk ludzkiej rzeszy.

Pobrzeżem Wisły, po błoniu, po zielonem, stąpała w ciżbie siła ludu, konia i skota.

Która przed Tatarem uciekła była ziemia, wracała teraz.

Wstawało życie znowu pobudzone.

Do zgliszcz powracali bieżeńcy i nowe ludy Teutony i nowe cieśle cysterskie.

Śpieszyli do domu bożęta i bartnicy, włókici

i powsinogie biegusy i borysowie borowi w obfitości. Jechały pługi, a przy pługach człowieki, rataje bydło gnali, wielkie bydło i małe.

Winiarze szli i miernicy, farbiarze i sukiennicy.

Tu wróżnik, tam tanecznik.

Wesołek w dzwonkach i korabielnik.

A też mnich łysy w kapicy. Męska i żeńska twarz w obfitości.

Jak wody płyną wiosenne, tak oni przebiegali.

— Gdybyż mi oni swe serca człowiecze do stóp przynieśli — tak poszepnęła ducissa w okieńcu. — I gdyżbym podjęła przyniesione...

Patrząc na ciżbę, różnie myślała.

Widziała się panią królową nad tym ludkiem. W hatłasowej szyjnicy i krasie, w kiwiorze sutym, włodarskim, w otoku dworek przykucniętych, *imperatrix!*

Na koniu widziała się, na siedle z języczkami, na złotolitej pokrowie, w cudnym jezdnym ustroju, umiatająca prochy po ziemi!

Na gonitwach widziała się, na turniejach, igrach i tańcach, skroś świegotarzy, hofmistrów, dumna, uśmiechła i rada!...

Ale k temu, ku świeckiemu dworu nieskłonna była. Ku inszemu więcej. Tu czechło

zakonne podeszło jej w myśl i żywot w cieśni i biesagi ubogie. I ten habit franciszków szary. Aby tak była, jak pani Salome cudowna. Bo gdyżby takie dziwy, jak tamta czynić? Chorych uzdrawiać, głuchym słuchy oddawać i w tej dziwności chodzić po świecie?...

Raz o tem, raz o inszem doradzało jej serce. A które lepsze, nie wiedziała. To o ziemskiem, to o niebieskiem włodarstwie myśląca, to jedno to wtóre rozważająca.

Luto było ducissie. I posyłała w oddal myśli biegnące.

Z łożnicy przybiegał aż tu rozgłośny pokrzyk zaklinacza, jenż wywoływał niemoce z książęcia — na świecie szumiał zgiełk ziemi wracającej...

TU TRZYDZIEŚCI I WIĘCEJ LAT PRZEMINĘŁO...

Szczygiełek, Polikarpus i Wawrzon, zwany Tłustobrzuchem, ci byli trzej franciszkowi bracia w klasztorku sądeckim, którzy teraz społem biegli do komórki łaziebnej, bo już dawno kołatał był Pietrek łaziebnik, że gotowa. Zdziali tam oni rączo paski swoje węźliste, rude kapice, sandałki, i czechła mocno dziurawe, a cisnąwszy je gdzieniebądź, sposobili się oskomliwie. W dostałym, rumianym kształcie, w nagiej, ludzkiej postaci.

Szczygiełek figlas był, tedy po karku klasnął Tłustobrzucha, Tłustobrzuch znów łaskotnął pod ziobro Szczygiełka. Polikarpa zasię nie poruszali oni zgoła, bowiem ojcu temu gdzie niegdzie siedziały wrzody rozmaite w ilości. Rozwijał je teraz ze szmat w osobności, ostrożnie, chcący suchej zażyć łaźni. A był ten Polikarpus we włosach szady, w oczkach zapiekły i chytrus.

Już też łaziebnik Pietrek przyczyniał coraz szczapów pod kamieniem, aby go rozpałać poczciwie; też chlustał, ile zmógł, wody przestałej do wysokich rząpi. Już rozpałał, już nachlustał.

Brat Wawrzon zmamrotał rączo Zdrowaśkę łaziebną i jakoby rybka śmigła w sam raz z ławy do kadzi skoczył, aż od tych mięs jego okrągłych stęknęła ciężko beczuła, aż woda ochlusnęła zielone i mszyste bierwona komórki. Przykucnąwszy w beczule, zamoczył dokładnie gnaty swe obszerne, potem wyjrzał, prychnął i splunął, zaczem znowuż wdół hycnął, unurzał się do znaku, po samo ciemię ołysiałego łbiska. Wychynąwszy, mikotał radośnie mokremi powiechami:

— Kamoś polazł, umarlino?! Tu mi jeszcze dochlustaj, hej! — Tak skrzyknął na Pietrka i stuknął go mokrą łapą dla zachętu.

W pobliż kamienia posiadł się na pniaczku Polikarpus, już rozpowity z pakłacznych ubiorów. Pietrek zasię bryzgał coraz ziąbem wody na gorący kamień, pokiel nie dobędzie się z kamienia niejaki duch parny. Tym duchem podkurzał się Polikarpus, potem maścił się skromem zajęczym i nieco w smutku dumał. A tamci naśmiewali się:

— Rachuj, rachuj, hultaju! A będzie już z pół kopy tych pryszczysków, hę?

Więc Polikarp do Szczygła:

— Tee, podprzeorze... Jaki też dzionek mamy ninie, co?

— Ano środowy chyba.

— Tedy nie rozdziewaj się, ino do jutra czekaj z łaźnią.

— I czemużby to?

— Toli wszarzom tylko w czwartki łaźnia pozwolona.

Więc brat Szczygieł uchwyci urywek chwostaka, jaki tam do nacierań był, i naprzesiły prać pocznie Polikarpa powszędy. Zaczem wlazł w spokoju w drugie rząpie i drapał się kosmatym liściem po żyłach.

A Pietrek ganiał i ganiał skroś komórki, aż mu ona gardziel obrzękła na szyi i hycały na nim zdarte suswałki habitu. Raz liść kosmaty podawał, raz krew bydlęcą suchą i mrówczanego naparu; ciągiem pracowity na wysłudze ojców, którzy parzyli się i chlustali w tej łaziebnej izbie. Dobrze im tama było. Podczas z dziedzińca śpiewki jakieś dobiegały...

A to byli służebni, którzy śpiewali:

Oj, niesie mnie, niesie,
Konicek do Resie.

A inni za nimi:

Konicek do Resie.

I jeszcze:

Kieby do Jagusie,
Nie chciałoby mu się.

A tamci:

Nie chciałoby mu się.

— Śpiwajcie, wyronie, śpiwajcie, — krzektał na to Polikarpus wrzodzisty, — abyście się naśpiwali. Bo już odtychmiast tak przyjdzie, że śpiwać nie będzieta. Jechał podle furty Michałów nieć od Krakowa i szepnął mi...

Tu wzięli Wawrzon i Szczygiełek pyłgotać z ziąbu wielkiego. Wyskoczyli z kadzi, tarli się winiuchem i leźli rączo w tapczany.

Zagrzawszy kości, pytali Polikarpa:

— Cóż ci to mówił Michałów nieć?

— Mówił, ano, że mu już czyrwone i sine kropy gębę obsiadły.

— Komu zaś?

— Ano książęciu naszemu, Wstydliwemu.

— Że go już, tak mówił, niemoc czyrwona trzęsie.

— Niechby go i wytrzęsła i żeby mu Pan Bóg śmierć nagłą a spokojną zesłał — to Szczygiełek wyrzekł.

A Tłustobrzuch:

— Amen powiadam, boć już dwadzieścia roków ten oziębły Pudyk śmiertelnego zmiłowania czeka.

— Siła on też latek siedzi na tym majestacie?

Znów Wawrzon:

— A wicie, kiedy pirwszy Tatar nastąpił, jak to Chromy Paszek zabit był? Nie wicie. Od wtedy siedzi. Siła będzie.

Tu dobył rąk z owicia i liczył na paluchach swoich.

— Już też będzie trzy razy po dziesięć roków i jeszcze więcej. Uf, jak mnie te żyły suche pieką.

Tamci znów mówili:

— Ileby zaś latek ducissa miała?

— O, już pomkła w latach! Chyba kopę popełniła od urodzenia swego.

Lecz Szczygieł:

— Ach, łżesz! Wierę ona wysmukła jako łątka. Pomnicie ją łoni, w tym kłobuku pierzastym, do ojcowych krain jadącą?...

Znów Wawrzon:

— Co zaś będzie, jak Pudyk zemrze?

— A cóż? Ona nastąpi na przestół.

— Czyż? Jabo powiem, nie. Ona nie na przestół, a na pniaczek zakonny siędzie, w tym tu naszym klasztorku, jegoż sfundowała. Tak i pani Salome nieboszczyca uczyniła jest, poszedłszy w habit na Zawichost.

Tu Polikarp:

— Et, ledaco pleciesz! Inszaciem Salome, inszaciem Cunegundis. Tamta ni gdzie pójść nie miała, wdóweczka, a ta panostwo ma, dwa księstwa... A myśliwa, uj-ha, a tysiącochytra, hej! Teraz paciorki lubi, w habicie chodzi, a ku końcu rozrząd weźmie, le...

Znów poskrywali się w barłóg dla rozgrzewki, a ten Polikarp niedługo milczkiem siedział:

— A wicie, z czego on chory? Z uroków. Przez nią on nieduch jest.

— Prze kogo, prze kogo?

— A prze tę ducissę. Uroki mu zadała, urzekła. Mać moja u jednej dworki sługiwała, to i wiem. Raz jak na jednego złem okiem cisnęła, to i zaraz w dziki miąs porósł.

Bracia wyjrzeli zadziwieni.

— Myśliłbyś, że ona zaziory czyni?

— Gorsza rzecz! Ona płomienica!!!

Skrzyknął, aż tamci poruszyli się.

— Et, krętu wętu dla zamętu! Chwaścisz, ażebyś chwaścił, synku marnotrawny. A co tam z nią, któż powie? Jak rok zamkniona w zamczysku siedzi. Owaciem, gdzieżby taka panosza świętobliwa do czarów udawała się? To obmowiska są.

Polikarp wykrzywił gębę swą szydliwie, jakoby i on tłuste pyski miał:

— Tee, panosza, teee, obmowiska! Wyście też potury głupie, no!

I pochował się znów, a dymy z palowiska chmurą wędrowały po komórce.

Podczas Pietrek łaziebnik zuganiany przykucnął nieco u podźwierzy i tak słuchał a słu-

chał tej rozmowy. Maluśki on był między bracią i ostatni, ale czujnego sumienia. Oczęta mu się onaczyły w tem słuchaniu, podparł piąstką purchawą gardziel, a gębina pałała mu w rozwartości szeroko, szeroko. On tam inaczej wiedział i rozumiał o tej ducissie. W tych dymach schowany, mamrotał cichutko:

— A to mówią, że kwiatki z ziem wynikają, kędy ona postąpi. A kędy spojrzy — łagodzi...

Polikarpus sobie gadał:

— Płomienica jest, to wiem, mać mi powiadała. Gdyż skrzykła jeno, jeden w dziki miąs porósł.

A Pietrek u podźwierzy:

— Mówią, że jej nocą anioły wino słodkie przynoszą...

I Polikarpus:

— A jakie oko ma? Zawiesiste, a twarde, rozkazujące powszędy.

I Pietrek sobie:

— A płaszczyk wdziewa taki, co gwiazdami nasiany, hej...

Znów tamten sobie:

— Ja ta różne wiem. Raz było, że kazała

dziewce dwa zęby wyłomić, bo w suchedni gryzła. Tak.

Teraz brat Wawrzon odebrał słowo dla siebie:

— Ty znów patolisz! Azdali nie dała pani ducissa na ten klasztorek nasz wszystkiego imienia z komory? I też wygodziła prasołom ubogim w Bochni i rozmaitym ludkom, ileraz, co? A gdyż włókitę z Leliszki spiekli na Bożym sądzie, kto dał dzieckom wardęgę?

Pietrek sobie ciągiem mruczał niesłyszany:

— Mówią, że też dziwy czyni i zjawienia...

I Polikarp:

— Et, rozdajbida! Bych ja wam ino jedno o niej powiedział, no!...

Tu kołatka na dziedzińcu klasztornym jęła ogłaszać posilny czas. Ze wszech chatynek, które tam były, wysmykała rączo brać mniejsza. Rozbudzili stareńkiego Barnabę, jenż zaspał był nad łatanką rybnych sieci, wywołał też kołat Wypiora ze zwierzęcej chyczy, gdyż miał ten braciszek niedźwiedzia uspokojonego na łańcuchu, z którym po jarmarkach ganiał figlownie.

— Będzie ta na dziś — mruknął do się głuchy Więcław, który strugał pręciki dziewanny

i zanurzał je w bydlęcem świństwie, żeby nocą świeciły.

Szedł także Przecław, Dusiał i Przytuła, a potem od ciesielki, od końskiego gnoju przybiegli braciszkowie służebni w pokorze. A wszyscy raźno, jak to w posilnym czasie. Napoślad i tamci trzej wylęgli z łaziebnej komory.

W pospólnej izbie czekali trzej pachołowie z koszami, którzy tu codzień strawę nieśli z kuchni panieńskiej. Przybywała też z nimi pewna półsiostra służebna, nad rozdzieleniem straw czuwająca. Z imienia zwali ją Jachna. Była ona aliści — a to z przykazu regułki klasztornej — płachtą na gębie zawita, w jednem miejscu oczek dwie szpareczki otworzyste mająca. Stąd kłopot bywał niejaki, bo nie wiedzieli nigdy bracieńcy, jaka ta Jachna na pysku wydawać się mogła: równa albo szpetliwa? Bo pozdłuż prosta i pełna zdała się i też z pod zawicia blaskoty różane wyglądały.

— Witaj nam tu panno urzędnico siestrzyńska — tak brat Przytuła skrzyknął, a dojrzawszy, że ma ta Jachna wpośród widnej za chustą brodeczki jakoby żłobek maluśki, spojrzał oskomliwie tamtędy — coże nam dziś pichconego *sorores* przysyłają?

Jachna nie była od gadania, a pachoł, jenż przemówił:

— Pichconego nic tu niemasz ninie, chybaby wędzone.

I dobył z półkoszy misę glinianą, kędyż łosoś leżał na dziesięć rozdzielony, też siła rzepy oskrobanej, nieco czosnku na omastę i chleba bułek czworo. Potem z pazuchy wyiskał jajek pięcioro, oraz odsłonił konew barszczyku, dobrze kwaśnego. Stareńki Barnaba już był mdłości sędziwe okazywał, więc dlań dali michę klusków pszennych, w szczyrej wodzie upichconych. Zgłobliwie obzierali bracia wszystkie przysmaki owe, a Przytuła wykrzykał:

— Wracajże duchem wędroweszko z tą tu siostrą niemową pospołu! Idzi do szafarzycy wielebnej i pyszcz, iże nam się ninie troje miąs patrzy mimo postu; dwoje przeto, że dwom braciom balwierz krwi upuścił, i trzecie przeto, jako przeor nasz brat, Jarnołt przewielebny, podróżny jest i aże nocą powróci z Krakowa.

Aliści nie poruszył się ten pachoł, choć mu i puckiem grozili. Wiedział on, że mu wielebna szafarzyca zeklnie jeno, precz wygoniwszy.

— A dla źwirza ścierwo kędyż byłoby? — pospytał jeszcze Wypiór, szukając w pustych koszach.

Znów pachoł:

— Rozkazała ichmość szafarka, że niepotrza. Bo i niedźwiedź, — tak prawiła — gdy w klasztorze, regułkę chować musi, poszczący w poniedziałki, środy i piątki.

Aż pocirpał niedźwiedziarz w złości.

— Oj, zdechłby nieboraczek, gdyżby na czystej regułce panieńskiej.

Brat Szczygiełek, podprzeorze, zmruczał chybko benedykcję i poszli do jadła, na ten barszczyk i rzepkę mało pokwapliwi.

— Chyba nam dodasz, Przytuło?

Tak mówiąc k niemu, mrugali. A ten Przytuła wydobył z dziupli tajnej zajączka sprawionego i parę ptaszyn, co je jarząbkami zowią, które przystawił do palowiska.

— Tyle mam, a kość niech was podzieli.

Więc oni zaraz siedli kołem na ziem, wpośród obierzyn i plugastwa, a każdy dobył kostek z habitu. Gałki to były, z gnatów cielęcych strugane, tu płaskie, tam kanciaste, które zakręciwszy, ciskali bracia przedsię.

— Płaskoć — wołano, ileraz płasko kość upadła.

— Kant! — jeśli stanęła prosto.

Komu stanęła prosto, ten czynił sobie guzek na pasku franciszkowym, komu na płaskoć, ten, guzka nie czyniąc, pozierał smutno, bo widno tak było: największa siła tych guzków znaczyła comber zajęczy, mniejsza dawała do udźca prawo, najmniejsza do jarząbka. Ktoby zasię same płaskoście trafiał, ten już musiał ostać przy rzepce i siestrzyńskim barszczyku.

Wśród igry odorek miłowiewny biegł od palowiska, kędy Pietrek na wielkim rożnie zająca, na maluśkim ptaszyny sadliste obracał.

Szczygiełek nawiązał tyle guzków, ile grzechów głównych bywa, a to jest siedm, więc zaraz wziął combra i krzektając gryzł. Po udziec Polikarpus wyciągał paluchy, bo tyle kantów cisnął, ile przykazań kościelnych, pięć. Jako zaś są cztery sprawy ostateczne: śmierć, sąd, niebo i ciemności piekieł, tak po cztery guzki liczyli Dusiał z Więcławem i zachycili po jarząbku.

Zły, że go comber ominął, poszedł teraz Tłustobrzuch do sióstr na naukę.

Zdziesięć Zdrowasiek od chałupek braci, na tejże posadzie Sącza miasteczka, siedziały panienki Boże, mniejsze, aliści nie na wolnem polu, jako brać tamta, jeno murem wysokim okolone. Czyli to na pamiątkę rozesłańców Pańskich, czy przeto, że inne do tego miasta nie chciały, było ich dziewięć i troje czyli dwunaście sióstr pospołu.

Zaś nazywały się klaryssy, bo Klara pirwsza ich mać w italskiej ziemi była. Tęż to Klarę pannę świętą umiłował Franciscus w Asyżu, Franciszka zaś miłowała sercem ducissa Cunegundis, klasztorku tego fundatorka.

Dwunaście ich było. Kaścha wrotniczka siedziała przy furcie, Krajna z Radochą, niewieściska starsze, dozierały warzechy, Mrochna od habitów łatania tak siestrzyńskich jako i brackich nosiła spuchłe paluchy. Jachna z Hanką dzwonniczki za

sznur ciągały, Świętochna, Częstobronka, Michna, Tomka i Ofka na rozmaitej biegały posłudze, a to w ogródku, a to na chórze, a w niemocnicy. Jedne, łąteczki młodziuchne wzięte w habit od niedawna, po woli, po niewoli rozmaicie. Insze, a to Radocha, Tomka i Świętochna już były klasztorków znajome, tu zaś przysłane ze skalskiego konwentu wielmożnej nieboszczki Salomy. A wszystkim Klemencja pychą pokryta przewodziła.

W jednym pospólnym dormitarzu spały, a też bosonóż latem chodziły, szarosukienne, białozawite, czarnoszkaplerzne. Że zaś białogłowy były, którym i słowa śpiewnego nie lza wydobyć z gardziołka na kościele, więc im nasłał pan papież tych bracieńców, i gwoli piania z ołtarza na chórze, i gwoli służby Bożej w niedzielę, i też dla rozmaitej nauki duchownej. Za to im miały strawę codzień sposobić i habity połatać, jako zależy.

W tejże, co i braciszkowie, biedocie siedziały one w Sączu, przez dzionek paciorki prawiąc, wedle przykazania. Sześć było chatynek kurniawych nieoprawnych, a jedna lepiona, z piecem i białą komnatą. Obiecywał był dawno ichmość książę krakowskie, że im dworzec postawi białokamienny a majstrowie cysterscy przyjadą z kielnią, z temi

cegłami nowotnemi. Po prawdzie przyjechali ci majsterkowie, aliści poto, aby wokół chatynek mur dwusążniowy ustawić, mur kolczysty i wszelkiemu oku ludzkiemu odpór dawający.

W sam raz po obiednich Zdrowaśkach skrzykła Klemencja panny Boże do komnaty, kędy położono na ławach dostatek ziela rozmaitego, które latem w ziołowym ogródku, a też w szczyrem polu uzbierane było. Rozkazała im układać wszystko wedle rodzaju swego i potrzeby. A jedno będzie na niemoc, insze na kucharską potrzebę, insze na piegi, suchoty i blizny, insze na uroki i odczynianie. Żeby to wedle tego, jedno kole drugiego kładły, przekładały, ściebały, supłały i paździerzyły.

— Ale żebychta niektóra — to mocno dodała — kłokietliwego jęzora nie dobyła, ani umiatając, ani rozliczając postępków jakich. *Silentium* bądź między wama, a która w tem pogrzeszy, odmówić będzie powinna w odwieczerz dziesięć i jeden paciorków, a to będzie z wyciągniętemi na ziemi rękoma.

I precz poszła, pyszna z rodzaju swego.

Więc Tomka cichuśko:

— Pruchwa stara! Już ta grzeje się w lepionej izbie. A wicie, co wam powiem?

— Co powiesz? Rychło powiadaj!

— Zmówmy tych dziesięć i jeden paciorków poprzód!

I legły społem na ziemi, rączyny nawszerz wyciągnąwszy, i szeptały Zdrowaśki za zgrzeszoną selencję.

Potem wzięła każda naręcze ziela, kładły, przekładały, supłały i paździerzyły. Jedna jady zielne wyduszała do słojka, Ofka ślazowy korzeń skrobała, insza tarła kosmate listki wróblego prosa, które na febrę zdatne. Jachna, mięty pieprzowej szukając, składała ją wespół z żółtem zielem. Insze lebiodkę, tamte podbiał na bolenie nyrk i kosaciec na laksację ściebały. Lub też żubrzego potrawu ująwszy, gniotły go na nic, z żywicą. Lub też czarną dziewannę mięsiły.

Tu Krajna:

— A toż mnie wonczas zbierającą w łoboziach rzecznych mokrodziw ułapił za nożynę, uuh! — i rączo przekreśliła się znamieniem krzyża.

Jakoś Jachna ustawszy, pobladła.

— Znów ty, nierobo, boległów zmyślasz?

— Cie... boległów... Insza rzecz. Już trzecią

noc cosi mnie skubie i koszka osobliwek w pierwosny. A to tak: raz koszka, raz skubie. Wierę, to chyba znowu zły bandzie... Ujej, ujej...

A wtedy tamte rozgwar podniosły, krzycząc pełną szyją:

— Znowuż ty nama o złym chwaścisz? Pomaść się zielem św. Jacka i co.

A Jachna:

— Kiedyżem poprzysięgła wyznać, ilkoraz... Jeszcze me w klątwę postawią.

Tu Ofka zjuszona posunie piąstki swoje ku jej gębinie, rzekąca:

— Ejże, ciastucho! Jakbyś wyrzekła Klemencji, to ci mokrą śmierć zadam! Już ja nie będę za twego złego na popiele spała!

Bo takie było przykazanie u tych dzieweczek świętobliwych, że gdyby jedną chociaby z nich czart kusił w osobie swojej, zaraz wszystkie przez dni dwadzieścia gruby popiół sypać miały na podściółkę swoją.

Tu Krajna do nich:

— Iii, co tam taki zły, koszkający po ziobrach. Żebyśta w Skale widziały, tam dwugłowy chodzi nocą po izbach!...

Więc siostrzyce w zalęku pytały, coby zacz ten dwugłowy był. A Krajna im rozpowiadała:

— Beł raz mnich, jenż dwie głowie na szyji miał. Beł i beł, aże Tatar, nastąpiwszy, szablą go ciął. Więc pomarł i odtychmiast chodzi nocą po izbach. I dwoje gęb ma i oczu czworo... Nie sypże mi lebiodki do wróblego prosa, niezguło... A jedną gębę ma, aby płakał, a drugą ma, by chichotał. Idący wrota otwiera. I czworą oczu poziera i czworą uszu słucha, straszliwy. Z ciemnego powietrza on idzie i w ciemne powietrze powraca. I tak se chodzi powszędy spłakany i uśmiechły, hej! A która siostra ten chichot posłyszy, ta już w tapczan głowinę zaciska. Bo na kogoby dwiema oczyma zajrzał, temu nic, na kogo zasię czterma, temu śmierć...

Tu Ofka:

— Niechby i dwugłowy chodził, albo nie, ale wierę te w Zawichoście lepiej mają. Inszaciem, niżli my. Zawsze im tama drew narąbią bracieńcy, a nam?

I jęły skargę znowu:

— A czemu to naszy nic nam nie znoszą, ha? Żebrać na nas mają wycierusy, nie zaś siebiedla tylko!

— Lebo czemu to my nie są białosukienne, jak te norbertańskie dziewczyny w Witowie, co?

— Wicie, co wam powiem?

— Co powiesz? Powiadaj rychło.

— Jutro se przypnę ząbek czyrwony na zawiciu i co mi stara zrobi, le?

Tu kołatka grzechotać jęła, wołając panny na naukę. Mruczały, wzdychały.

— Kto ta dziś przyjdzie? Czyli ten chudziak błahy, czyli onż grubas, albo i sam przeor?

— Nie przeor, bo na Kraków pojechał...

Kołatka grzechotała znowu nagabliwie, a one ciche już społem do chóru stąpały.

Nastawiwszy nieco kapicę na oblicze swoje, bieżał Wawrzon rączo ku furcie panieńskiego klasztorku. Przyszedłszy, stukotał raz, drugi i trzeci. Siostra Kaścha wrotnica ozwarła mu, i złożywszy rączyny na piersiach wkrzyż, przepuściła. Człapiąc po ruszystych kamykach podworca, zdążał do jasnej komnaty, potem sapiący piął się po drabinie na powierzch chóru klasztornego, a korda węźlista bimbała mu cokoli po fałdach habitu. Przegroda z tarcic sosnowych rozdzielała chórek na dwoje: w jej pośrodku bywał tam otworek, blachą dziurawioną zasłoniony, i płachtą czarniawą a też goździami wokół nabijany. Za tą blachą dziurawioną siostry w rządku ustawiły się, a to tak, aby, gdy pytać pocznie ten rozmowca, mogły mu do blachy rączo podać słowo odpowiednie.

Stanął Wawrzon przed otworkiem, tak, iż nieoglądany był, i słyszany tylko.

Krząknął i zaczął:

— W imię Oćca i Syna i świętego Ducha.

Zaraz spojrzały na się siostrzyczki, że to nie Polikarpus, a Wawrzon prawi.

On zaś mamrotał głoskiem błahym, nierychliwym:

— Społek kościoła świętego powszechnego wszemu człowieku ku wiedzeniu godny, przez Atanazjusa, jarczybiskupa zapisany. Amen. Ktokoli chce zbawion być, przed wszystkimi potrzeba jest, aby trzymał krześcijańską wiarę. A ta wiara jest, iżbychmy jednego Boga w Trójcy, a Trójcę w jedności chwalili.

Tu podniósł głos, do płachty go przybliżywszy:

— Inszaciem jest persona..., ej, niechże pirwsza siostra wypowie, która insza persona.

Pirwsza Ofka stała, zdawna klasztornej rzeczy świadoma, tedy pytliła mu w porządku:

— Inszaciem jest persona Oćcowa, insza Synowa, insza Ducha świętego.

I Wawrzon:

— Jaki zaś Ociec jest, a jaki Syn, o tem gadajcie!

Znów Ofka w te pędy:

— Jaki Ociec taki Syn, taki i Duch święty.

Teraz na drugą zawołał, którą Mrochna była, i tę zagadnął słówkiem początkowem:

— Który stworzony, który niestworzony?

Aliści Mrochna słów nauki wcale nie pojmowała, tedy za nią Ofka, głosek odmieniwszy:

— Niestworzony Ociec, niestworzony Syn, niestworzony Duch. Wieczny Ociec, wieczny Syn, wieczny Duch. A wszakoż nie trzej są wieczni, ale jeden wieczny, jako nie trzej stworzeni, ani nie trzej niezmierzeni, ale jeden jest niestworzony, i jeden niezmierzony.

Tak pytliła, że ją zatchnęło, a już preceptor trzecią zarywał, „który pan większy" pytając.

Trzecia Tomka stała, jako inne w tej rzeczy głupia. Więc i za nią Ofka odrzekła:

— Tako pan-Ociec, pan-Syn, pan-święty Duch, a wszakoż nie trzej panowie, ale jeden jest Pan.

Ledwie wypytliła, już im Wawrzon paciorek gadać kazał i, benedykcję rozdawszy, odchodził, gdyż mu do celnej chaty śpieszno było.

Bo miał konwent bracki taki przykaz od księcia Wstydliwego, żeby na rozstaje dróg baczył i dań celną zbierał od jadącej rzeszy.

Gdyż zawdy nocą uliczkami tego Sącza miasteczka szły z węgierskiej strony brankardy z kupią rozmaitą, wiozące od gór wino do Krakowa i Biecza.

Więc przyzwolone mieli bracieńcy, iżby z tej kupi cło brali i tak: od brankardu z winem szkojców dwa, a gdyżby żydowin tam jechał, trzy; od bryki z tkaniną szkojców trzy, zaś jeśliby kto niewiastę na przedaż wiózł, tedy nie zwolić, lecz takową wziąwszy, w nowicjat panieński odesłać.

Codzień po wieczornych pacierzach dwóch braci odchodziło na miejskie bramy, a to, żeby na celnika pozór dawali. Tak i ninie Wypiór z Dusiałem odeszli.

Powiadał im celnik, że co ino pojadzie od gór brankard, jeden z miedzią gielnicką, po nim rynwan z winkami, a też bryka czworokonna, która wiezie do inszych okrajów imbir, figi dławione i ryż, i też pojadzie napoślad pewny brankard tajemny, zakryty, który obejrzeć trza sposobem chytrym.

— Ale mi do sposobu tego ogników braknie — dorzekł ten celnik, lściwy w oku.

— Więc duchem rozjarzajcie, a i wiłę rozbudzić, niech nawdziewa maszkary z obłudą. I pachołów ze sześciu wziąć.

— Na figi jakiby ortel był, pomnicie?

— Pomnę. Od fig dławionych trzydziesta dań brana być ma. Od ryżu, od korzeni takoż. Dla długości czasu obaj bracieńcy szeptali podczas pacierze, jakie im z dnia tego niemówione ostały.

A gdy nieco Zdrowasiek przeminęło, zadudniło ciężko na drodze. Brankard z miedzią gielnicką stanął u bram. Rozniecono łuczywa. Podeszedł celnik z ostrym rożnem, a brać za nim dla pozoru. Węgrzyn chąziebnie patrząc, supłał grosze z podpasu. Było tych groszy sześć razy po dziesięć, bo od centnara dziesięć powinny był, a miał centnarów sześć w tym brankardzie.

— Może ta i więcej wieziesz, hultaju nieosiadły, — tak brat Wypiór krzyknął, — lecz ci to konwentus nasz dla miłości bliźniego swego odpuści. Z Bogiem!

Podjechał na stanicę rynwan z beczułami, a celnik wołał na woźnicę, aby żywo złaził.

Zlazł z kozła brodacz niejaki, zaś leżąc, pyłgotał w strachu.

— Ile tam barył wieziesz i jakie wino twoje jest?

Węgrzyn, niewiele ludzkiej mowy pojmujący, wyliczał, jako ma fasów pięć syrmskiego białego, *item* baryłek ośm szekrazda czyrwonego, *item* cztery achtele słodziuszka rusterskiego. I pytał, jakaby dań była, bo odjechać rad.

A celnik:

— Odstąp psiarybo! Rachunku chce świniawesz po nocy. Do południa czekaj, wtedy obliczym.

Węgrzyn przyjął najsmutniejszą postawę i prosił się, że mu do Krakowa śpieszno. Nie słuchali wcale. Więc brodacz zaraz, że da im jeden achtel rusterskiego. Nie słuchali jeszcze. Obiecywał baryłę sporą szekrazda czyrwonego. Tu laikowie do niego, że nie chcą, bo ten szekrazd chybaby dla cystersów dobry, dla obłojów. Alboli odda im fas syrmskiego, albo niech do południa czeka.

Poszedł Węgrzyn ze zmarszczonym nosem radzić w bryce z inszymi Węgrzynami. I wyjrzeli samopiąt i rozliczali się, na paluchach liczący, beczuły okazujący. Żeby ośm razy po dziesięć

groszy oddali i jedną baryłę syrmską, a też i achtel rusterski, a wraz pojadą. Tak Dusiał do nich. Więc brodacze, że dadzą cztery razy po dziesięć groszy i ten achtel jeden, inak zaś do południa odczekają. Aż i zgodzili się.

Podczas nadbiegała drogą owa bryka tajemna, pocztem jezdnych z kuszami otoczona. Już i blisko Sącza to było, przed góreczką niemałą, gdy lasek niewielki minąć im przyszło. I znagła w tym lesie jął ptak puszczyk okrutnie piskotać. Jezdnych strach obleciał i pośpieszyć chcieli, alić ku górze z bryką nie zdołali. A owo wtóry puszczyk zapiał srogo i tamten pirwszy mu odkrzyknął. I tak jęły te ptaszyska wrzawę czynić, że jezdni modlili się głośno: *Ave Maria, gratia plena*... Lecz nie pomogły modlitwy, bo znowuż z krzaków ciemnych ogień widzieć dał się i łomot i nowe pokrzyki ptaszysków. Jezdni przywarli twarzą do koni a trwoga trzęsła nimi jak febra. Wtedy z krzaków ciemnych wyskoczył czart, książę piekielny. Haniebny on był i straszliwy w osobie swojej. Czyrwonemi ogniami buchał z ozwartej gęby, gorącym rożnem wywijał gromko naokół i też chwostem śpiczastym swędrał mocno po ziemi. Z nim razem różne szczekoty okropliwe

szły. Z bryki i z koni zbiegli ludziska. I byle jak gnali przedsię w zestrachu. Ostała samotnie bryka i konięta. Więc ten djabeł pędem do bryki przypadł, a usiadłszy na koźle, figlikował tam rozmaicie tak ogniem jak i smrodem. A gdy tamci wszyscy daleko już odbiegli byli, wtedy wyjrzą z rowu pachołowie klasztorni i nuże koszkać po bryce i śledzić, co w jej wnętrzu tkwi. Tam leżały na spodzie trzy zawiązane niewiastki.

Więc je na koń wzięli i pędem gnali, i djabeł z nimi samoczwart.

— — —

W dormitarzu brackim wesoło było. Przytuła zapalił świeczki z dziewanny i rozstawiał kubki gliniane przed bracią przy okrągłym stole, którzy stroili gardziołki swe na tę winną zdobycz. Polikarpus przy baryłce tkwiący, zaraz czopa wysadził i kubki podsuwał w porządku, a wonia winna, subtelna ogarniała w sposobie słodkim dormitarz.

Brać wszystka, wodząc nozdrzą obrosłą naokół, mlaskotała i pijąc chłeptała.

— Ops! Godne szaconku, godne!

— I nie dziw, że tak krzektał Węgrzyn, dać baryły nie chcący.

Wypiór powrócił z lasu, zmordowany.

— Uj-ha, a dajcież, dajcież, bo z trudu wracam. Trzy panny w lochu są. Głupice dotychmiast zębem swoim stukocą, przed czartem w strachu.

— W porządku zaś było?

— W porządku. Jeno czart skręcił se trochę nożysko.

A gdyż tak o brykach jadących rozprawiali, nowy turkot usłyszan był. Jarnołt, przeor konwentu tego, wracał z krakowskiej podróży.

Zaraz widzieli bracia, że nieswój przeorek jest, bo wszedłszy, nie napotkał wcale tej słodkiej woni, ogarniającej komnatę.

Jarnołt, stanąwszy w smutnej postawie, tak prawić jął do braci swojej:

— Iżem późno powrócił, zła wieść przyczyną była. Której posłuchajcie: dostojne książę nasze, *Cracoviae et Sandomiriae dux Boleslaus dictus Pudicus* śmiercią ninie zmarł.

Nie bardzo, ale posmęcili się słuchający.

— A przeto będziecie siedm dni sucho jeść, a na gołem kolanie chór zaduszny odprawiać, iżeżby mu Pan Bóg zesłał grzechów odpuszczenie i do swej chwały wpuścił. Amen.

Smętku bardzo wielkiego narzucił tem słowem w ich serca. I jeszcze dorzekł:

— A gdy dech wydał, pani ducissa zdziała mu z głowy chustę śmiertelną i z niej zawicie sobie uczyniła, zawicie w sposobie sióstr mniejszych, to zaś na znak, że odtychmiast w habit pójdzie; już też go dla niej dworki wawelskie szyją.

A bracia:

— I tu na Sącz zjadzie?

— A zjadzie.

— Na ksieński stołek chyba?

— Na ksieński.

Tu poszli w klęczki wszyscy i byli w wielkiej niewiedzy dniów przyjdących i szepiucąc cicho, mówili modły ostatnie za duszę książęcia na Krakowie, na Sandomierzu.

Kościółek klasztorny sądecki wysoki był i szyroki, jakoby dziesięć chat kmiecych w jedną połączono. Stareńki już, aliści mocny jeszcze w węgłach i bierwionach swoich. Gonty szade nakrywały jednako dach, w szczytach wężutki, niżej rozparty, przysiadły, już już ku samej spływający ziemi; a schylone na słupach ganeczki sobotnie obiegały kościółek wkoło, wkółeczko.

A teraz jakoby świetlica w godzinie swadziebnej wydawał się! Powszędy zielny, kwieciem strzęsiony, choiną wonny. Na obłych kamykach usłano sukna pawłoczne, do krągłych bierwion przytkniono opony subtelne.

Strugałki świętych rozesłańców wymaścił brat Więcław na dziś barwą czworaką chwalebnie. I też tam klepane świeczydlniki były i szczyrosrebrne aniołki w ołtarzu. Z wysokiej więzi dachowej spadały wzniż jarzące korony, bujając na sznurach

w sposobie błędnych gwiazdeczek. A świeczek w nich dwie setki.

Iżby w jasności w habit weszła ożałobiona wdowa księcia Bolka, Cunegundis.

...W kościółku cieśń była. Na stołkach, na hatłasowych posiedli krakowscy kanonikowie i w cienkich giezłach prałaci. I franciszkowa starszyzna: Rajmundus, minister duchowny, i Bartłomiej, stróż wszech konwentów tej ziemi, też Maciej i niektórzy insi.

W okręgu dalszym niewiasty, ksienie, opacichy i przeorysze, naroczne, dożywotnie, przeróżne, z dalekich okrain jadące. Iżby tych obłóczyn uczęśnicami były.

Najpirwsza przystanęła wielmożna i napuszysta panna Wisieniega, staniątecka ksieni: chocia ciała ułomnego, ale ducha wysokiego, zawita w habit maści smolnej i w kłobuk z sobolich skór schowana, tak na ramionach, jako i podołku kosztownie wyszywana. Kręte nożyny kryje w sandałkach jedwabnych, praworącz laszczkę złocistą dzierży wysoko zakrzywioną. Za Wisieniegą przeorysza Trzebnicy następuje. Rodzaju niemieckiego, maści białej, w oczach zmrużona.

Za temi insze. Kanonice, magistry, prioryssy. Piaskowe, białawe, czarniawe i szare. Stareńkie, rumiane, babusie i młódki. W sandałkach, w trzewicach, w karpielach. Od Skały, od Zwierzyńca, od Buska, od Witowa, od Pragi, od Welehradu, odwszędy! W okręgu wszystkie przystanęły z świecą pałającą, patrzące przyjścia nowotnej siostrzycy swojej.

W przytworze i kruchcie kościółka śpiewakowie stłoczyli się tutejsi, sandeccy. Był tama Wypiór i Przytuła, był Dusiał i Więcław, był Wawrzon i Polikarpus, a nad nimi wszystkimi Szczygiełek ster trzymał. I też ten Pietrek umarlina przystanął. To gapił się co nieco na cudności, to wyroślinę swoją układał na grdyce, ażeby mu w śpiewie nie szkodziła. Za tą bracią widni byli w ganeczku sobotnim piszczkowie, szpylmani i bębennicy, do rozgrywki hejnałów radosnych gotowi.

W tęż to chwilę dzwonniczki mocno strzęsły dzwonkiem różnym i nachyliły głów swoich chorągwie —

szpylman miechy grające sztucznie nogą deptał, bębennik w bębny bił —

i otworzyli gardziel swoją śpiewakowie...

W ruchu białym wstąpiła na kościół ducissa.

Z nią, przed nią i naokół siostrzyce: Klemencja, Ofka, Hanka, Jachna i Radocha i wszystkie.

A nie był nikt, ktoby dojrzał jej oblicza.

I nie był nikt, ktoby doszedł, że już w latach pomkła daleko.

Białopokryta upadła kolankiem zgiętem na kamień, a rozwinąwszy nawszerz członki swoje, krzyżem legła.

Teraz pan biskup ukazał się, obleczon szatą obfitą, w popiersiu jedwabny, na ramionach złoty, na głowie rogaty. Usiadł w czyrwonem siedzisku i nieszpór wszczął. Aby Bogu na pochwałę, czartu na pohybę, ducissie na obłóczyny.

Przy dzwonach dzwoniących, przy śpiewie płynącym kościółek w klęczki poszedł. Pochyliły się szyjami swemi mniskie kapice. Którzy tylko byli kanonikowie i prałaci, poklękli; które wszystkie były ksienie, magistry, opacichy.

Na hatłasowym matrasku przykucnęła panna grabianka Wisieniega.

Na stopniach ołtarza diakonowie w długich albach i ząbczystych tunicellach dymili kadzidlną obiatę, a słodziuchna wonia żywicy obiegała w niebieskich kształtach rozsnuta.

Znów przydeptał miechy szpylman w sobotach, bębennik w bębny uderzył, znów strzęsły dzwonkiem dzwonniczki i zapiali śpiewakowie — szyroko, wysoko.

Pan biskup z siedziska w ołtarz poszedł.

Przylgnięta do ziem ustami ducissa krzyżem leżała. Rozwinięte zaploty jej włosków rozbiegły się po zatyle główki i szyjce, ani starawe, ani szade jeszcze.

Tak trwała w spodziewaniu, że już za okamżyk jeden zawiążą się jej śluby i utwierdzi przysięga. I da w służbę Franciszkową ciało swoje, jemuż od dziecek dała w służbę serce...

Przegoniły długie nad jej żywotem wichury, minęły lata młode i starsze w czekaniu. Trzy razy po dziesięć lat przeminęło i więcej.

Skłuła się docna gwoździami, zapiekła męką, zdręczyła pokutą.

A jako słoneczny płomień przebiega szkło i nie przełomi go, tak też jasne pokusy grzechu rozkosznego nawskroś niej przebiegały darmochcące.

Sobiewroga żyła, w gwieździe swej zasmucona, na bezludziu zamkowem sama; do rozprawy z tym bujnym królem ustawnie gotowa.

I przeto tylko teraz w habit idąca, ażeby ostatnią i jawną bitwę książęciu piekieł wydała!

Tego dla wszyscy wiedzieli w kościółku, że się pojawi i przybędzie, on, który od dziecek ostrzył tarń na ducissę, czart!

Już też zawczora dał znać o sobie, a to pod postacią wilków, nocą bardzo wyjących, i też naprzeciw jadącego orszaku na powietrzu stanął w figurze jakoby baby wielkiej.

Więc też zrana siostry napiły się odwaru święconej paproci, iżby w ich serca nie miał na ten dzień wstępu.

Rzesza klasztornych ludków okoliła dla straży sobotnie ganeczki, bracia służebni chodzili po polu, śmigając w ciemne powietrze wodą święconą powszędy.

I tak baczyli, kędy się ukaże:

czyli ujrzany będzie na widoku w postaci koziej?

czy nie zakazi zielskiem trybularzy?

lub piach smrodliwy wsypie do grających miechów?

lub w muchę przemieniony, ukąsi gdzie niebądź siostrzyce?

I uwieszony na daszku przyzbowym piorunem strzeli po trzykroć!

Tego dla w trwodze śpiewał i klęczał kościółek...

Odstąpiwszy ołtarza, pan biskup ku ducissie leżącej szedł.

Przyszedłszy, tknął ją laszczką zakrzywioną w ramiona.

Powstała, rączki założywszy, oczka opuściwszy.

Rozkazał, niech za nim podejdzie.

Podeszła.

W jej tropy postępowali diakonowie.

Pierwszy nożyce dźwigał łyszczące w blasku świec. Inszy przykrywadło białe ukazywał, inszy wodną łagwicę.

Za nimi siostrzyczki drobiły. Klemencja habit niosła świeżo szyty, Radocha kordę panieńską z węzłami, Jachna szkaplerz dzierżyła, Krajna zawicie białe.

Tu śpiewakowie jęli pochwalać Pana głosem czterochórym wedle słów kantyku. I znowuż dzwonki dzwoniły i szpylman i bębennicy.

W zaplocie włosów rozpuściałych przyklękła ducissa w ołtarzyku. Ksienie, opacichy, magistry biegły z świecą w jej pobliże.

Teraz pan biskup obłożył czystą szerzynką oboje ramion klęczącej, wziął się do nożyc, i — zachyciwszy spłacheć włosia wręcz — ciął. Już je trzymał ucięte, jasne, miłowiewne.

I zapalał w płomieniu trybularza, i płonące w łagwicę wodną rzucał.

Skwierczały, dymiły.

Postrzyżoną odziewały siostrzyce, chodząc dokoła. Klemencja habit podała, Jachna szkaplerze, Radocha kordę panieńską, zaco też pocałusem duchownym przez nią obdarzone były.

Teraz ducissa biskupowi niesie dwie baryłki maluśkie. Baryłkę wina ze złota, baryłkę wina ze srebra. A ten biskup, ująwszy zawicie z rąk Krajny, podniósł je wysoko i modlił się. Potem naokół szyi zawijał i zapinał pągwiczami.

Kościół cichcem klęczał patrzący...

Naonczas wpośród tej cichości usłyszeć dał się szum i bzyk niektóry, jakoby go czynili komarowie jacy ogromni, brzęcząc w swojej ilości.

A szedł ten szum od przytworu, z między świec, w kruchcie jarzących, z tłumu braci śpiewaków umilkłych. I w kościół wolno biegł.

Poruszyła się ciżba w zdziwieniu i zaraz wychynęły z kapturów głowy opacich i ksień.

Znowuż pojęk głuchy dobył się, jakoby z udręczonego idący serca.

Tu biskup wstrzymał nieszpór i odwrócony bystro wglądał w kościół. Z pod rogatego kłobuka wysmykały mu szade kędziorki, z rąk, jedwabiem pokrytych, zwisały niedługie, haftem szyte manipularze.

Cicho się stało i najciszej, a te jarzące korony bujały i syczały na sznurach w sposobie błędnych gwiazdeczek.

Tu słyszano, że świeca, z rąk czyichś puszczona, padła, stuknąwszy o kamień.

I wnet ciało jakieś człowiecze ciężko o ziem runęło.

A te pojęki, te haniebne rzężenia i mruki biegły teraz jedne za drugiemi. Z nich rozruch w kościółku zaczął się. Którzy wszyscy klęczeli bracia i siostry, opacichy i kanonikowie powstali, tłocząc się w zalęku.

I to jedno było słowo do ust im przywarło, którego wyrzec nie śmieli: *satanas!*

Biskup od ołtarza wciąż na kościół patrzył ostro. Na wierzeje pozierał i na stropy dachowe, na wnęki i na jarzące korony, skąd też wynijdzie czarny anioł, skąd sprzeciwnik Chrystusów, czart!

Już diakonowie do stągwi z wodą poświęconą biegą, już i węgielki w kadzielnicach jarzą. Maluśka panna Wisieniega głowę w smolny kaptur ciśnie głęboko, głęboko, i pośpiesznie krzyżyki tą laszczką zakrzywioną kreśli.

Już też ducissa, z klęczek podźwigniona, w ruchu białym czeka...

Truchliwe zbiegły do niej siostrzyczki i wieńcem stają w otoku.

A ona wyższa nad ich pokolenie patrzy. Na obliczu dziwna: uśmiechła, rozświecona, niecierpliwa!

Skąd wynijdzie czart, kogo urazi?

Aliści ani to w świeczydlniki, ani w więźbę dachową, ani w daszek przyzbowy, ale w Pietrka wszedł.

W tego Pietrka łaziebnika!

Jenż biduś malutki stał w kruchcie między bracią śpiewaczą z kijkiem dziewanny pałającej w ręku.

Znagła o ziem nim cisnęło.

A potem wzwyż podniosło.

Legł rozwinięty na tych obłych kamykach, jął też pyłgotać i tłuc i jadowitą pienistość z gęby

wypuszczał. Oblicze trzęsło mu się kurczem okropliwym, oko stanęło jakoby u sowy, szyrokie, małołypiące, zawrócone. Ta purchawka, co ją miał na podgarlu, siniała mu, puchła i chybotała, widno czartem miotana. Nożęta chude igrały, to kuląc się, to rozwierając, rączyny jedna i druga zaszły otokiem, a cztery palce jeden palec ściskały. Też pazurami bardzo o kamień drapał.

Braciszkowie zdziali rączo z bioder węźliste kordy swoje i trzaskotali niemi po Pietrku, po obliczu, po nożynach, rączynach usilnie: *Apage, apage!* — tak do czarta wołając. Ten trzaskot z bzykiem pomieszany biegł od kruchty w kościółek, a biegnący rósł.

Tłum wszystek w trwodze klęczkiem leżał. I jedna tylko z między ciałek leżących wynikała Cunegundis.

Tu pan biskup jął głosem zatrwożonym śpiewać z ludem swoim nieszpór przeciw czartu. Podczas braciszkowie rozpostarli w kruchcie giezło mokre poświęcone i zepchnęli tam opętańca. Inszy paprocią nań ciskali, kopiąc dosyć gdzie niegdzie. A diakonowie dymili żywicą z kadzielnic. Aliści czarci kurcz potrząsał Pietrkiem dalej. I wypływała zeń piana szumiąca, która z posoką zmieszana

była. Widno w samem wnętrzu najgłębszem siedział mu djablisko.

W pobliż opętańca podeszedł pan biskup z ołtarza. Rozkazał jeszcze wszystkim obliczem do kamieni przylgnąć. Przylgnęli. Sam jeden kroczył. Przed nim idąc, chłopiąstkowie, niewinni grzechu, nieśli księgę, z której silnie śpiewał.

W powietrzu szumiało, jakoby wichrem. Jarzące korony u stropu chybotały nim kołysane. Z dymów kadzidlnych snuły się obłoki ciężkie, wyonaczone w kształcie.

Przystanąwszy nad opętanym, biskup głosem mocnym do Pana Boga wołał:

Deus coelorum!
deus maris et terrae!
deus omnium, quae in eis sunt!
deus, qui satanam, sicut fulgura de coelo praecipitasti —
te suplice oramus...

— Amen, — oddali mu ku końcu diakonowie, w strachu szczekocąc zębiskami.

Aliści Pietrkiem tłukło i ciskało, jak przódy. One giezło święcone czart poszarpał na nim i zmierził na szmatki.

Wonczas pasterz pochwycił laszczkę kropielną i ód wszech stron nakrapiał obficie opętańca, i najmocniej do szatana krzyczał:

— Duchu nieczysty, rabie piekielny, oto mówięć: wyjdź!!!

Ta purchawka na Pietrkowem podgarlu zachybotała bardzo i jeszcze bardziej, jakoby mocniej puchnąca.

— Któryś czarną niecnotą i tą sztuczką szydliwą brata spętał naszego, dręcząc go i męcząc — wyjdź!!!

Aliści opętaniec dalej stukotał i pazurem kamień drapał.

— W ciemności zewnętrzne wróć i zaniechaj go!

Diakonowie z kadzielnic dymili chybko na cztery strony świata.

Biskup, już w potach trzęsący, jeszcze zaklinał:

— W ogień gorący, w męki nieskończone wróć!

Już najokropliwsze podrywki uchwyciły Pietrka.

I na obliczu śmierć widna mu była krwawa, pienista spuma bulgotała umarlinie na ustach.

Usłysząc to pan biskup, tem ci zapalczywiej

skropił go. I krzyczał głosem ostatnim z wszystkiej piersi swojej:

— Nie jać przepędzam stąd, służebnik niegodny, ale pan Krzystus i wszego stworzenia Bóg! W imię Oćca † i Syna † i świętego Ducha † wyjdź!

A wtedy Pietrkowi, docna już skurczonemu znagła skręciło głowę, jakoby ku onemu miejscu, kędy w otoku leżących sióstr stała prosto ducissa.

I tak czart przez usta jego zagrzytał:

— *Ve, ve, Hungara!*

Leżący podnieśli oblicza w zadziwieniu, szepcąc ku sobie, że ten czart ducissę wspomina, któraż z węgrzyńskich krain przyjechała jest.

Hnet ją k sobie przywołał pan biskup.

Z między siostrzyczek leżących wychynąwszy, stąpała. W zalęku, w zatchnieniu pozierały na nią. Cicho było. Podeszła.

Patrzyła przedsię ostro i mocno.

Po kamykach stukotał klekot sandałków bieżącej.

Jak światełko chąziebne po lesie migotały gorąco jej oczy szmaragi.

U stropów kościelnych syczały jarzące korony.

Stygnęły w strachu siostrzyce i kanonikowie.

Przyszedłszy, śmigła laszczką kropielną i wypowiadała twardo, na pewne:

— Nie jać przepędzam stąd, służebnica niegodna, ale pan Krzystus i wszego stworzenia Bóg!

I zaraz Pietrka uciszyło. Rozkurczony przywarł do ziem i rzężał lekko. Zawarł oczy i sprostował palce, a w purchawce sklęsnął. Cicho leżał sobie i potulen. Zaś wszystkie siostry słyszały, jak djablisko, trzepiocąc skrzydłem wielkiem, ulatywał do stropu, w ciemności zewnętrzne.

W wieńcu sióstr spromienionych stała Cunegundis dumna.

— — —

Nie było tam, u braci, takiego, jenżby wieczoru tego nie uczuł trudu w lędźwiach swoich. Rozkładali je stękając na tapczanach dormitarza i rączo do snu udawali się.

Jarnołt mościł co nieco leże ugniecione i pomrukiwał:

— Otóż dziwna nowina, wielmi dziwna!

A Szczygiełek:

— I to w sam raz, ledwo ino wejrzała. Dziwna!

I Polikarp:

— Nie dziwujcie, nie dziwujcie! A toż mówiłech wam, że u niej oczy uroczne? Nic to ino zazior był!

Tu Jarnołt:

— Alić i wygnała go precz i łomotał chwościskiem u stropu.

Już był Polikarp wlazł w tapczan swój na górze i zakłębił w szmatach, alić usłysząc, mówił:

— Łomotał, powiadasz? Widzi mi się, że ten czart niniejszy to bandzie wujec owegoż, co u nas na cle służy!

Zaraz mu Jarnołt uciął te bluźnierstwa, rozkazując surowo z mocy przeorskiej, żeby natychmiast wypluł z siebie faryzejskie zakwasy.

Polikarp zaś znów:

— Wicie, co mi się widzi? Już ta ona brukwi w klasztorze skrobać nie bandzie!...

Potem spali, sapiąc ciężko. Już odeszły z nich pierwosny, jakoś o drugiej nocnej godzinie, gdy zdało się Szczygłowi we śnie, że gdziesi bardzo dzwonią. Pokoszkał się, przewalił, przyciągnął łachów na głowę i odsypiał dalej. Aliści dzwoniło jeszcze. Potem cicho znów było. A potem w sam raz zdzierzył ktoś mocno pieścią w zawory dormitarza. I wrzeszczał:

— Wielebni, ohej, wieleeebni! Ady dzwonię i walę, aże me mgli!

Przecław, u wrót śpiący, odepchnął nogą kłonicę. Wtoczył się dziad niejaki, ogromny, namarznięty.

— Cożech ty, niedomordo, z byka spadł? Dzwonisz po nocy?!

A dziad:

— Z przykazu dzwonię. Wielmożność nowa panna ksieni kazali od ninie dzwonić co noc na matutinę.

Rozbudzeni bracia pozierali k sobie w ogłupieniu. Bo już byli tam oni dawno zapomnieli, kiedy do matutiny wstawali!

Kaparzyli długo, pasków, kapic i kożuchów szukający. A potem szli, tocząc przedsię nożyska zaspane, w kroku ciężkie. Potykali się o drwa i kamienne wyboje, klący, mamrocący.

Szedł Przytuła i Dusiał, Wypiór niedźwiedziarz, Wawrzon i Polikarpus. I nie gadali nic.

Jeden Polikarp szepiutał błaho do siebie:

— Dobrodzika!... Niechbych ja wam ino jedno o niej powiedział. Le!... Już ta ona brukwi skrobać nie bandzie, no!

Gdyż tylko rankiem słońce z zamorza wyniknęło, przyszli do chat brackich ludzie przeoryszyni przy zbroi i ujęli w kaganiec Pietrka łaziebnika. Posadzono bidusia między żelaza gryzące, oczy zamknięto chustami, skuto k sobie rączyny. A to było wszystko z rozkazu panny ksieni Cunegundis, chcącej, ażeby czart szkodliwy nie wrócił do postaci jego, nowe szkody czyniący. Nie zdołał umarlina i kroku uczynić w tych przekowach, więc go narącz ujęli i rzucili w ciemną komórkę, jąż wpierw skropiwszy mocno wodą poświęconą.

Smuciła się też dolą Pietrkową wszystka brać sądecka, owszejki nic nie wiedząca, że już dla nich okowy gorsze zgotowane! Bywsza ducissa Cunegundis wzięła rozrząd w klasztorze. Co rana z chatynek panieńskich pojęk obfity wybiegał, na znak, że się tam widno jakaś smutna sprawa

dzieje. Potem braci służebnych skrzyknęła do się panna ksieni. Dano im do rąk oksze i topory, iżby łomali kamień w pagórku. Insi też nad pobrzeże rzeczne iść winni, gdzie na fali wzdętej urywki drzewa płyną. Te zaś imać będziecie i przynosić. Coby te rozrządy niewieście znaczyły, nie wiedział Jarnołt, też Wawrzon nie pojmował, ani Szczygiełek, ani myśliwy Polikarpus.

— A cóż, — tak Jarnołt prawił — chyba od południa na kapitułę was zawołam i uradzimy.

Wpierw ale obiadu czekali, którego pora ogłoszona była. I oto jako zwyczajnie przybyli pachołowie z koszami samotrzeć z siostrą zasłonioną w gębie. Jak zawdy przynieśli oni konew barszczu dobrze kwaśnego, rzepę skrobaną i cztery bułki chleba. A toż i po ubierze panny Jachny poznane było, że tam im czas niedobry. Plecki swoje nakrywała ona habitem jakimś plugawym, a sznur najgrubszy opasywał biodra. Jak codzień stanęła, na gębie zawita, słóweczka nie rzekąca. Byłby ją może Tłustobrzuch pogłaskał i ninie w ten żłobek skroś bródki, aliści zapuściła dziś szmaty po szyję i nieruchawa zdawała się.

Więc wydwarzał trochę:

— Uj-ha, co nieco was ouździła nowotna panna ksieni!

A Przytuła dośmiewał:

— Jakaż tam rozprawa taka była, że aż do naju ten piskot biegł? Wypłoszy wam z główek zające, to i dobrze.

Cokoli bracia kiedykoli do niej gwarzyli, Jachna gębę trzymała bez słówek, odejścia czekająca. Tak i teraz działo się.

Jarnołt zaś do niej:

— A rzeknijcie tam komu, że od ninie matutina nocna jako wpierw śpiewana bandzie od południa. Bo tak myślę, że w nocy spaniem trzeba pochwalać Pana Boga.

Tu zawinięta siostrzyca strzęsła się... Ruchem nieco gwałtownym zdziała z oblicza pakłaczną zasłonę, ozzuła wierzchnią kapicę i podniosła kark wysoki. I dziw, ach, dziw!

Braciom wydało się, że w nich wejrzenie ćmi się: to była ksieni wielebna, ducissa bywsza Cunegundis! A ten habit pakłaczny i ten pasek konopny mienił się jakby w czyrwone hatłasy, w bisiory lśniące i otulał zjawę mocą jasnego majestatu.

Zmrużyła oczy, z których zaraz pobiegły

w górę iskrzące żary i zielone, gorejące płomyki złości. A jedną ręką zachwyciła koniec pasa węźlistego — dysząc:

— Hach! szkodźcy jadowite! Hach! sługi nieużyte najmilszego Boga! Wiemci ja, jako tu sobie poczynacie. Skaziliście domek mój, obłupcy wy! Alić ja was, pachoły sprośne, do pokory przywiodę, i do regułki przyuczę. Czartowskie raby wy! Kostyry, suszybeczki wy!

Tak do nich mówiła w potężnej mocy słów rozmaitych. W zalęku ścirnęła brać docna, patrząc głupio okiem rozszerzonem. Tylko pachoł jeden z drugim precz uciekali z izby.

A tę ksienię nowe ognie ujęły i wywodziła:

— Ja pani wasza od ninie, nikto a ja, ja opacicha, nad siostrą, nad bracią przewodnia! A chybaby wam paść na ziem przed oczyma myma, w obliczu. I ten wam oto przykaz daję: na kolana!

Omamiona, bezsłowna brać do klęczek udała się. Osunął się przeor, osunął Szczygiełek i Wawrzon i wrzodzisty Polikarpus. Który nisko pochylił głowinę, a nad karkiem sterczała mu kapica, jakoby kadłub chrząszczu ogromnemu.

A ksieni jaskrzawo:

— Otóż plugawe zgromadzenie! Ja na was

gniewy Boże zawołam. Widzieliście kagańce, nałożone pokurczu djabelskiemu? Anioła bijącego zawezwę! I k małej liczbie was przywiodę! Zwierz leśny, zwierz polny przeciw wam wypuszczę.

Tu zjuszony dotychmiast głosek panny ksieni ustał nieco spokojny.

— Bo tak mi dane z wejrzenia Boskiego, iż wiem, który człek piekłu przysądzony. I to wam gadam, zaniedbalcy: wyście w potępie są! Gdyż zapominacie Boga, gdyż dniów świętych nie dbacie.

Tu wyszarpnęła z pod zawicia krzyżyczek mały, świetlisty i praworącz ujęła go. A był on złoty, bizancki i jasnym kamieniem błyskał w ramionach swoich.

Teraz w sposobie cichszym mówiła:

— Odtąd pod rozkazywaniem naszem sąście i wzdacie mi liczbę z uczynków swoich: śpiący, stojący i leżący. I będzie żywot wasz taki: wedle myśli Bożej. A to poddaństwo mi przysięgą utwierdzicie tu!

Jakoby zbójcy kłodą zamykani, pozierali na się chyłkiem braciszkowie, w niewiedzy przyjdącego uczynku.

Ona zasię, trzymając praworącz wysoko ten krzyżyczek złocisty, wywoływała słowa przysięgi jedne za drugiemi:

— ...Jako chcemy i będziemy, przysięgamy.

Chcący nie chcący mamrotała brać klęcząca. Tak przeor, jako Szczygieł, tak myśliwy Przytuła, jak Wawrzon i Polikarpus.

I ksieni dalej:

— ...A to nam dopomóż Bóg i te tu świętobliwe...

A oni wtórem:

— ...i te tu świętobliwe w krzyżyku kosteczki.

Zawinąwszy oblicze, odeszła. A tych jakoby pomarlica wzięła. Klęczeli jeszcze.

Szczygieł pirwszy ocknął się, wstając:

— Aliści nam duszę utuczyła tłusto, uf!

A Polikarp:

— I cóż, przysięga ta nieznaczna będzie? Jakem mówił czarownica, nie chcieliśta wierzyć, he?

— Na zgubiel, na ostatnią nam przyjdzie.

Teraz Jarnołt rozpoczął:

— Wicie, powiastkę powiem wam.

Nie odrzekli, więc powiadał:

— Beł raz taki król ociec, jemuż się synek mały narodził jest. Tak ten król kaźń wydał za-

raz, aby nie zwolili synkowi jego possać mleka inszego, a jeno niech będzie z wymion nasroższego źwirza. Więc pytają tego króla królewscy ludzie w smutku, czyli w lesie wilczycy poszukać? Odrzekł król: nię ta nasroższa. Więc go pytają, czy pod lwicę oddać synka królewskiego? Odrzekł król: ani pod lwicę. To chyba pod niedźwiedzią mać? I do tej nie. Pytają jeszcze królewscy ludzie: któreż tedy nasroższe z między żyjących istot? Wymówił król: owoż to samo, które najłagodniejsze. I dołożył: białogłowa!

Ale oni nie mieli do żartów chętu i skargę rozpowiadali. Bo tak: ma być ten klasztor w mocy ducissy ksieni, co go założyła, ale rząd nad bracią klasztorną w brackiej jest mocy, na co pergaminek świętego oćca w skrzyni chowają.

Tu insi skrzykną:

— Nie do skrzyni, a na Kraków iść nam. Owaciem i zaraz! Do prowincji. I rozpowiedzieć, która tu nowina niegodziwa stała się. Niech ją na sąd zawezwą. Bo nie będzie tak, iżeby żywot nasz w niewieściem chceniu ostał! I żeby parkoty z nas wypuszczała.

Na to Wawrzon:

— Tu i prowincja nanic. Już ta się ona

z nimi poprzód zmrugała! I to wam przepowiem, wyronie, że i wy tak na wstydliwych przyuczeni będziecie, jak był przez nią ten książę.

Mówiąc, uradzili potem, że owszejki na Kraków pojadą. Pojadzie przeor, i podprzeorze z Szczygiełkiem samatrzocim. Więc poszli przyładzić wozy i kożuchy.

Polikarpus, co był pędem wybiegł, powrócił teraz, niosący w ręku urywek czyrwonego łachmana i nieco kamyków soli. Ten urywek rozdzielał na cząsteczki, a też dawał skubać soli z kamyka, rzekąc:

— Cząsteczki one pod habit włóżcie, a soli zjedz każdy po trzy szczypty. Zawszeć tak na zaziory najlepiej, przeciwek tym oczom ogniowym, uh! Kto tam wie, czy i nie zarzuciła uroków. Bo mamuna w niej jest, tysiącochytra, hej! I jeszcze nam od tej mowy dziki miąs wyrośnie!

Jeszcze nie pojedli tej soli i tych cząsteczek nie ukryli, gdy okrzyk przeorski zdala słyszany był. I też on sam bieżał widno z nowiną dobrą, bo zdał się na twarzy uśmiechły.

— Witaj mi to! — tak wykrzykał przeor — witaj mi to! Pozna wosk Węgierka.

I okazał pisaną tabliczkę, dopiro co pachołem

brata ministra z Krakowa przywiezioną. W tabliczce taki rozrząd zapisany był: iże przyjadzie do Sącza miasteczka i wespół z bracią siądzie w klasztorku niektóry brat Boguchwał, z italskich krajów przybyły. „Z naszej woli ten-ci jest“, — tak stojało w tabliczce, — „który wielebnej Cunegundis bywszej ducissie, ninie pokornej służce Franciszkowej ucho spowiednie podawać będzie“.

— Ten-ci jest, — dokrzyknął przeor z ochotą, — który na nią sposób znajdzie. *Sit nomen Domini benedictum!*

Teraz ducissa przyrządzała klasztorek od nowa. Iżby był odtychmiast cerkwią groźnego Boga. I w rozpaczy czekał sądu koniecznego, który przyjść może, zanim się chwila jedna na półzegarzu godzinnym przesypie.

Po śniegu i po lutym ledzie, poprzez ostre przechody i wądoły kamieniste biegły wszyściuchne siostrzyce co nocy na gorący paciorek w kościółku. Iżby się w grzechu ocuciły, same jedne bogumiłe w niedostatku wszystkiego chrześcijaństwa. Bose, w pytlu włosiennym drogę swoją odprawiały.

Idącym kazała bacznie pozierać ducissa, czy też wierzeje kościelne nie otworzą się czasem same przed niemi. Ale się nie otwarły. Lub czyli skroś nocnego powietrza nie wychynie tam kiedy z niebiosów umarła pani Salome. Ale nie wychynęła. A gdyżby inny jaki dziw stał się, niech rzekną. Ale nie stał się i nie rzekły.

Tedy ułożyła je wszystkie na twardem kowadle utrapienia. Abychcie bezprzestannie płakały boleści duszy swej! I chociaby studnicy zbrakło na te łezki wasze, płaczcie! Płaczcie i łzę dawajcie! Wypłakał bo za nas pan Krzystus tysiąc po siedmdziesiąt najsłodszych płaczów swoich.

Tu im sześć zgryzów zadała.

Ten był zgryz pirwszy: strawę swoją z ziemi szczyrej gębiną jako psi jadły.

Ten był wtóry: na szyjkach szyjnice konopne zawiesiła im ku zawstydzeniu.

I ten był zgryz trzeci: na biodrach przepas, goździem kolący.

I ten był czwarty: pomyślenia swe, tak jawne jako i senne, wypowie każda wszem wobec w kapitule otwarcie.

I ten był piąty, haniebny: codzień was wszystkie wespołek karcermistrzyni podrapie.

A toż im tama źle było w klasztorku siostrzyczkom, a toż na nędzę przyszło już bidułkom! Kul słomy posadzono w okieńce, ćwieków w kratę dobito w dwojnasób. Jakoby w kłonicę zamknione siedziały w krwawym trudzie, na suszy. Tak sobie myślące, iż to już zgubiel ostatnia nadeszła.

I nie była tam żadna, którab y łzy swoje ugasiła, a ten pojęk żałosny szedł przez chatynki nieutulony. Radocha karcermistrzyni ustawiała pokutę i zgryzy. Było babsko owo chciwe w ręku i w rozmierzaniu tych plag biczowych nigdy nasyte. Do czarnej izby wiodła je za przewinkę namniejszą i tam paznokciem żelaznym drapała do znaku, lub twardym kańczugiem trzaskotała mocno. Gdyż jako wrzątek wody pieska strzymuje od kuchniej, tak ten paznokieć występki.

Chopiły się biduśki, prosząc do opaciszynych nóg, tej kaźni bolesnej prosząc się daremnie! Lecz Cunegundis samej sobie jednako ostra była, a też krzywa jednako i bezlitosna. Powszędy z niemi podobna, równa, cierpiąca. Bo jako w wnętrzu swojem anielska była panna opacicha, tak w zewnętrzu sierdzista, tak w mowie i uczynku sroga.

Narówni im jako sobie po czworgu chleba na tydzień wydawała, a ten chlebek bywał poprzód w ługu gorzkim umaczany. Wespołek ni ku czemu używy nie mająca, a ciałko swe, chocia włodarskie, ksieńskie, w dniu każdym na rozdrapież dawająca.

Pobudzała je, rzekąc:

— Tak to już będzie do żywota waszego.

I przynaglała je, rzekąc:

— Jażem dla pokajania was w habit poszła i w tej udręce na sąd was poprowadzę.

I zagrzewała je, rzekąc:

— ...W rozpaczy i trwodze bądź wszelkna myśl nasza, siostrzyce!

Ku słońcu przenigdy nie patrzmy.

Od wody myjącej chrońmy się.

I od jasności dnia.

Od pośmiechów uciekajmy i od słówek głośnych.

Iżbychmy umarły czartu, światu i ciału.

To jedno dobre nam, iże w zamrozy kwiecie polne nie pachnie! A gdyż nas latem wonia taka otoczy, liczka skrywajmy!

Bo z tego słonka — tak uważała — pokusa idzie. Która powszędy przyczajona jest, w wietrzyku czyha, w kwieciu i w zarannej rosie!

W takiej zaś męce bolesnej i pokucie mać nasza żyła, jejże modlimy się codzień: Klara, panna święta. Która, gdy mi się w majaku sennym pokaże, krwią zawdy ocieka...

Słowem żadnem wyprawić się nie śmiały siostry styrane, do boleści przynaglone.

A chociaby co tajne było i najtajniejsze pomiędzy, to już przejrzała, kapłanica nad niemi twardousta.

Tylko tę trwogę narzuconą, tylko tę rozpacz przymuszoną w sercu nosiły.

Tak Ofka, jako Jachna, tak Krajna i Mrochna, Częstobronka jednakie.

Żeby już ten antychrystus w piecu żelaznym przyjachał czekające...

Nad stołem z tarcic świeżych siedział człek pochyły, w obliczu jakoby od prażma słońca wielkiego ogorzały. Sute, jasnobujne kędziorki snuły mu się rąbkiem wężutkim nad uszami; stężone, pracowite oczy błyskotały mocno w otoku kół szafirowych, a plesz golony pośrodku łba wilgnął rosą z nasilenia. Na stole doniczki stały, w nich on coś mieszał, rozcierał. W doniczce jednej białko było jajeczne, w doniczce drugiej czernidło. Znów ujął praworącz grudkę cynobru i tę tarł na osełce, gniotąc kostką zajęczą. Uśmiechy rozmaite przebiegały mu podczas w obliczu, te smutne, te dobruchne, ucieszone. Teraz czerwień już startą nanic pomieszał z białkiem jajecznem, ujął prątek pióra ptaszego i zarzezał ostro skrypturałem. Zaczem powstał i ku almarji postąpił.

W tej almarji księgi leżały różne, przedziwne. Barwami pisane i czernią, złotem rysowane i minją, w deszczkach zamknione zawiaskami. Były tam opuskuły i pateryki, były kamienne tabliczki, rozmaicie zapisane rubryką, a to wedle roku i zdarzenia, i też podług prawideł wszelkich historje. Te wszystkie on tu przywiózł z sobą, a teraz patrząc, czytał. Pochwilek dorzucił drewien w palowisko i zdjął z nad okapu spłacheć skóry bydlęcej, którą już wpierw pergaminnik sprawił czysto ku pisaniu. Tę do stołu przytwierdził i leżącą łagodził wzwyż, wzniż i napobocz laszczynką żuzlową.

Teraz odgarnął szyrokie rękawy habitu i na tej łagodnej płachcie ustawił ciężkie lineały.

Pomyślał i znak krzyża uczynił na czole, na uściech, na piersi.

Potem nacinał skórę skrypturałem a stylusem zadawał ołowiu. Zaczem ten prątek unurzał w doniczce, ułapił go trzema palcyma i na spłachciu postawił rysę rubinową. Ta prosta była, dodał jej wtórą: skośną i trzecią: zwężoną.

U wezgłowia żołtego pergaminku siedziała pierwsza rumiana litera. Odchylony od tarcic pisarz wodził po niej okiem długo i rozmierzał

tędy, tamtędy, jakaby była. Suta była, czyrwona, kapitalna!

Znowu mu jasne uśmiechy spromieniły oblicze i uczynił znamię krzyża na czole, na uściech, na piersi.

Przy kapitałce drugie rysy nacięte czekały. Te przyoblekł w barwę i stanęły w porządku za pierwszą jakoby dziwne, krętoczyrwone gadzinki, jakoby kwiatki czyrwone, piórem na skórze dziergane. Które, zrazu osobne, potem zmrugnęły się wespół i wyrzekły słowo:

INCIPIT...

Pisarz odsunął lineale na pobocz i dalej rysował, nacinał, barwił, odmierzał, wykręcał.

Pochwilek nowe wężyki samoczwart na skórze ustawiły się, zrazu osobne, potem społem mówiące:

VITA...

Umęczony trudem pisarz ustał i spoczywał.

A jako jeno kołatka jęła wołać panny na naukę — poszedł.

Już tam w chórze panieńskim klęczały one w rzędzie. A były sine z płaczu i żałośliwe. Codzień je karcermistrzyni złośliwym paznokciem trapiła, włosie końskie drapało biodra krągluchne,

na tarcicach, na gołych nocą dręczone. Z niemi podobna, z niemi podrapana klęczała w chórze ducissa ksieni Cunegundis.

Przystanąwszy u kraty, pisarz wysłowił się imieniem Bożem i mówił, tak jako tam w zwyczaju było, niewidny a słyszany.

A siostry owe uciśnione ani uważały głosu zmienionego, ani też rozliczały, że preceptor inszy, nieznany. Wyziębłe były, pragnące, spuchłe i zatrwożone. A od słów tej nauki czekały nowej trwogi i potępy.

Pisarz jął przemawiać z ukrycia i prostym wykładem wykładał słowa swoje. Głosek drżał mu przytem co nieco, bo pierwsza ta jego mowa była w tym klasztorku.

...A najpierw rozważał o tem, komu modlimy się. I też kto patrzy na nas codzień z nieba gwiaździstego?

Ano Ten patrzy, jenż utworzył wszystko.

I wywiódł ziele z opoki ku służbie ludzkiej.

Ptaszyny ustanowił na siedlach swoich.

Siedm planet założył na niebiosach.

I kropie wody policzył i morze wiatrem wielkim porusza.

Jemu bydlęta, Jemu gadziny pływające służą.

I też Go stwór każdy pochwala. Tak wilcy, tak łosiowie, niedźwiedziowie i lwowie, tak leśni ptaszkowie, tak ziółka i zwaliska gór.

A gdzież ten Bóg? Wśród winnych sadów na niebieskiem morzu mieszka i gwiazdy sieje w obłokach.

A jakoż chwalić Go? Dwoją rzeczą chwalić: czystotą serdeczną i radością doskonałą. Tu pychę i pokorę dokładnie rozliczył. Bo cóż pycha? Uciska serce kamieniami złości, owszejki pokora jest żywotem w obliczu Boga. Pycha ma córek siedm a szkaradnych, pokora ma córkę jedną, a cudną, którą zowią radością. Więc im dołożył, jakaby była radość doskonała. Tejże rozmnożcą jest Bóg, a któż szatan jest? Otóż szatan pomnożycielem smutku. Bóg światy płaczliwe utula, chcący, iżby brzmiał w sercach rozśpiew wesela.

Patrzmyż tedy, aby swe serce ku radości mieć, a jako daleko wschód słonka od zachodu, tak my oddalmy trwogi nasze gaudentes in Domino...

Każącemu płynęło z ust słowo w porządku, śpiewne i dźwięczące i na obraz lekwaru smaczne. Tem słowem jakoby trwogi rozrzucał, tem słowem boleści przepędzał i łagodził. Widno, że w niem rozumny był.

Zatchnęły się siostrzyce z ksienią ducissą w słuchaniu.

Wydało się, jakoby dobruchny wietrzyk do serduszek postąpił. I wymiótł im był myśli czarniawe, a nałożył insze, jaśniejsze. Sama tylko panna ksieni nieco ruchliwa zdawała się.

Prezbiter przydał teraz mocy wyrazowi swemu:

— ...A chcecie inszą ważną rzecz usłyszeć? Tęż powiem. Ni to pustą modłą, ni to kolankiem zgiętem nie objednacie radosnej łaski w niebiesiech. Ni też świeczkami, ani paznokciem drapiącym nie uwielbicie Bożego Syna i Jego Matuchny dziewicy. Ku smutku was one zawiodą, ku truchłej trwodze, a te są od czarta zesłane.

Wy zasię czarta wiarujcie się! Czystotą serca wiarujcie i radością doskonałą.

A wtedy, gdyżby i kamienie z gór ciskał na was czarcisko, wieleby chciał, nie bójcie się!

W radosne serce wstąpić mu nie lza.

I w miłujące też.

Miłujcie Boga i utwory Jego, z których radość wynika.

Miłujcie te zamrozy i śniegi białe i ptaszki latem trzepiotopióre i jastkolice śliczne czarniawe.

Miłujcie kwiecie wśród łąk pachnące...

Tu jużci dziw jakiś wystąpił na chórze.

Zmiędzy tych słówek skrzydlatych, płynących wyniknął uśmiech i uśmiechły wpośród siostrzyc siadł.

Prezbiter już kończył naukę swoją:

— ...A tylko jednego nie miłujcie, otoć ciałka swego niewieściego, które z głupstwa plugawego zrodzone ku głupstwu plugawemu pośpiesza.

Poklęknąwszy na kolana wasze, módlcie się codzień Bogu za ludzie smutne, aby je pocieszył, a od trwogi zbawił. Amen...

Tu wzniósł ręce obie ku górze wysoko i nakrywszy oblicze uśmiechem czystym, padł o ziem modlący się głosem bujnym i roznośnym.

A słowa modlitwy owej przedziwne były i takie:

Pochwalony bądź, Panie, wszelkim utworem Twoim.
A najpierw tym naszym braciszkiem wiel-
[możnym słońcem,
z jegoż mocy jasność dnia wynika,
a cudna w wielkim blaskocie —
Twoim jest, Panie, obrazkiem!

Pochwalony bądź i tym braciszkiem
naszym miesiącem i siostrzycami gwiazdami,

jeżeś ustawił na niebie —
kosztowne, świetliste i piękne!

Pochwalony bądź i tym braciszkiem naszym
[wiatrem,
a też powietrzem, tak ciemnem jako jasnem,
jako i wszelkiem,
ilkoraz je przysyłasz ludzkiemu stworzeniu Twemu!

Zgubiony w pacierzu zakonnik nie widział i nie słyszał i też świadom nie był, coliby się dziać mogło. A tam to działo się, iż znagła poderwała się z klęczek ksieni ducissa, toż samo rozkazawszy inszym siostrzycom swoim. I spędzone z klęczek precz oddaliła od wysłuchu tej płynącej z poza kraty modlitwy. Z nią razem złaziły rączo po drabince chórowej wzniż, i już tam żadnej nie było.

Modlący u kraty dalej wysławiał:

I też pochwalon bądź, Panie, tą naszą siostrzycą
[wodą,
abowiem i ona pokorna jest, ważna, czysta
[i pomocna!

Pochwalon bądź tą naszą siostrą i macierzą ziemią,
onaż bo zachowuje i żywi,
rodzi owoc w ilości i kwiatki barwiste i ziołka!

Pochwalon bądź osobliwek i tą czarną siostrzycą
śmiercią, jejże nie ujdzie niżaden
człek żywiący! Amen.

Skończywszy, powstał, spojrzał — i w niewiedzy dziwił się owej pustej cichości.

A wonczas ozwarły się wierzeje kraty mocno pchnięte od panieńskiej strony i przystanęła w nich ksieni Cunegundis.

I popchnęła go laszczką w pierś, krzycząca:

— Hej, ktoś ty?!

To rzekła twardo i zgłobliwie.

Zakonnik pochylił głową i kapicą.

— Boguchwałem zowią mnie w konwencie.

A ksieni z nim w spór:

— Nie szukaj łży! Wiemci ja, ktoś ty! Tyżeś omyła, tyś znowu ten isty sam, ten sam a w nowotnej postawie!

I wzierała w oczka jego swemi oczyma żadliwie i obiegała go wzrokiem płonącym powszędy.

Boguchwał, nie wiedzący czegoby chciała, stał. Ani hardy, ani pokorny.

A ksieni:

— W imię Pana Krzystusa i Franciszka, oćca naszego, powiadam: cożech ty prawił, ohydo? Tochto zaśpiewy były, czarnoksięskie hymny, kacerskie blekoty — kwasu w duszyczki naplułeś! W stróżę odejdziesz, w żelaza, otchłanniku!

Więc Boguchwał w spokoju:

— Posłuchu zwólcie mi siostrzyczko, a powiem.

Słuchała, on zaś prawił cicho:

— Ten tam paciorek mój przeciwek regułce naszej mniejszej był może. Aliści już takie ślubiny moje dziwne są.

Zamknęła mu słowo w okrzyku:

— Jakież zaś ślubiny przeciwek regułce być mogą, jakie?

— Zwolicie mi? opowiem —

a nim zwoliła, rozpoczął:

—...Jako wiecie i rozumiecie, jam przed ośmiorą niedziel dopirko powrócił jest do swej polskiej krainy. A już to dwa dziesiątki lat i więcej przeminęło, odkolim stąd odeszedł był, by tam u włoskiej braci mniejszej w sztuce pisma uczyć się.

Po tychże leciech dwudziestu, jechalichmy do dom żaglem, rozpodniosłym w korabiu.

I tam to na tem morzu znagła nas wiatr niemały pochwycił i też zawołał do siebie burze i powichry różne z ciemności nocnej.

Wiatrem ruszone wzdęło się morze spuchnięte.

W okropliwej nawalności toczyły się tam srogie wełny morskie i przewały ryczące. Które swoją mocą wodną szumiały i szumiały powszędy.

Oneż to nasz korab porwawszy, na szkopuły podwodne cisnęły. W tęż to chwilę przepęknął, ukazując miejsce otwarte, przez które woda morska nadbiegała w ilości.

A wtedychmy, ilko nas tam jechało, do różnych opiekunów niebieskich uciekali się. Jedni świętemu Tyburcemu wzdawali się, inszy posyłali prośbę do panny Rustykuli świętej, drudzy do Eufemji i Tomasza angielczyka, ci znów do Anastazji utrapionej mękami, i do Amandusa i do Prokarjusa. Ale widno ci wszyscy mocy nad morzem nie mieli...

Tknięta słowem ksieni słuchała. A Boguchwał:

— ...Ja podczas na powierzchu stanąłem. I pozierałem na zakręty wód, na bałwaniska huczące, przelewające powszędy. A otóż wydało mi się,

że z między wełnów owych wynika ku mnie zjawa jakaś. I to była zjawa panny Klary świętej, tem samem okiem na mnie patrząca, jak wtedy żywa w Damjanie...

Tu ksieni znagła przerwie mówiącemu:

— Wyżeście ją widzieli za żywota, w ciele?! Tę świętą pannę Klarę naszą?

— A widziałem. Koli stareńka już odsyłała duszkę Bogu z cielesnego domku swego, widziałem ją klęczący u podźwierzy wraz z inszą bracią mniejszą.

Gorące różańce wystąpiły na obliczu ksieni, jaskrzawe stanęło oko. Zaparta w tchu ścigała słóweczka mówione. Boguchwał dalej wiódł:

— ...I taką ją tam wśród wełnobicia ujrzałem, cichą, dobruchną, stareńką. Tedy z serca gorącego zaniosłem modły jedne i drugie, ażeby nas wiarowała od tej wodnej śmierci. I wtedy ślubinę uczyniłem pewną: jak skoro ona panna święta, za którąż modliłem przy jej śmiertelnem łóżeczku, wejrzy na nas i potopieńcom wypłynąć z potopu pomoże, wtedy już do żywota swojego przepowiem codzień po dziesięć i więcej razy ów ten ostatni franciszków paciorek, słoneczny a cudny paciorek do Boga, jegoż w skonaniu śpiewał

Franciszek, na pannę Klarę patrzący. Wyrzekłem. Bałwany dalej łomotały, a wichrowie bieżeli k nam i k nam odwszędy, i już już zła wełna korab nakrywała...

Ducissa ksieni jakoby nie słyszała owej powieści mówionej. Ino jedno jej twardo w myślach stanęło, że ten Boguchwał tem swojem dziwnem obliczem pozierał w otwarte oczy żywej panny Klary. On zasie dalej mówił:

— ...Aliści widzę, jak w czarnem powietrzu wysoko rozmaite światłości maluśkie zabłyskają: jedna, druga i trzecia. I te światłości z powietrza ku korabiowi zstępują. Pirwsza na dzióbek korabia upadła, insza na poślad, trzecia w stek, kędy się woda gromadziła. I ta światłość w otwór przepęknięty weszła i zamknęła go. Otóż i wichry ustały i wełny przepadły, a bałwaniska wsiąkły i siadły na morzu cicho, równiutko. A trzy światłości, idąc przez ciemnię morską, wiodły korab za sobą aż do spokojnej przystani. Przetoż ja tę piosnkę słoneczną w polskie włożyłem słowa i do żywota odprawiam, gdziebych nie zaszedł. To i przewina moja. Już też i ninie ósma przewina taka. Przyzwólcie siostro, że i dziewiąty raz powiem ją przed wieczorem!...

Poszedł w klęczki i powtarzał:

Pochwalony bądź, Panie, wszelkim utworem Twoim.
A najpierw tym naszym braciszkiem słońcem...

Ksieni Cunegundis osunęła się na kolana modląca, zachwycona bardzo.

Gdy srogi powichr lelejał na polu, a śnieżny przewał ruchem białym obłożył nieoprawne chatynki zakonne, wonczas powiadał ksieni swej brat Boguchwał o tem rozkosznem przyrodzeniu krainy włoskiej, o słodkolubym wietrzyku, jenż pomyka między cyprysami, i o tej niebieskości morza wielikiego, jegoż wodę wszystką jeden Bóg chyba policzył. Tam lato mało czasu zimie zostawuje, a ludzie italskie śpiewające są i uśmiechłe. Którzy cybulę z oliwą w obfitości jedzą, a też niejakie trzuskawki ogromne i słodziuchne. Tam u nich siostry franciszkowe bieżą przedsię w rąbkach cienkich, rozwite. A kiedy modlą Bogu w odwieczerz, szumi morze, a kiedy modlą Bogu w zaraniu, pachnie róża grzędami... Mówiąc, tarł mocno ręce swoje, sine od zamrozu, jenż szumiał ziąbem w ksieńskiej izbie.

Troje ich było w tej izbie. Ducissa ksieni na pniaczku przysiadła, słuchając. Boguchwał opodal palowiska stanął gwarzący. A w srebrnej strugałce wyryty patrzył na oboje maluśki opiekun, Franciscus!

Cunegundis, samotna żyjąc w żywocie swoim, nigdy mężczyńskiej mowy nie zaznała w pobliżu. A te słówka Boguchwałowe pirwsze były, w ilości przez nią słuchane.

Rada im w uchu była, rada w sercu. Rąbek zawicia swego osunęła wzniż, mówiącego nie widząca. Bo ani lza jej było, a też nie chciała tego. Aliści chocia nie patrząca, widziała go przedsię w tym krągłym, na krętowłosych kędziorach mucecie, w tej miłopłynnej powieści.

Teraz o Franciszku rozpowiadał. Tenci abowiem był pirwszy miłośnik przyrodzenia i utworów jego. Owaciem on i gadziny, chociaby pływające, chociaby latające, umiłował, a miłosierdziem nienawiść ich rozrzucał. Tu odmieniona była wymowa brata Boguchwała. I prawić jął w sposobie ślicznym, raz świegotliwym, inak znów cichutkim.

Najpirwej o tem, jako nasz ten ociec świętobliwy raz turkawice leśne ułagodził, znów, jak z wilczyskiem dzikim po dobremu gadał, kudły

jego swą rączyną głaskający, a też, jak mówił do jastkolic czarnych i słuchały go, lub kiedy na różach kwietnych śpiący spoczął i cóż? róże zapomniały kolców swoich.

Tu wziął Boguchwał o innej braci Franciszka rozpowiadać, gadki wcale wyborne.

A to, że był tama jeden taki Maciaszek, jenż przywykł modlić się Bogu głosem gołębim i gruchał na obraz ptaszka tego: u-u-u! u-u-u! u-u-u!

Zaczem prawił, jako te stare bracieńcy samoczwart w żebry chodzili i z dzieciną na drzewie wesoło bujali, a też o tym śmiechu wartym bracie Jałowcu przypomniał. Tak bo zdarzyło się, iż dnia jednego pokusa czarna podeszła do serca jego i kołata silnie. A Jałowiec: ostań se ta na polu, ostań, moja gospoda zamknięta!

Ksieni, o ziem patrząca, słuchała zapaliście, wciąż tej powieści nienasyta i różnie myśląca.

A te słówka miłopłynne w duszę jej szły, cicho niknące.

Powszędy czuła na sobie wejrzenie Boguchwałowe. Na obliczu je czuła, na zawiciu i na wszystkiej osobie swojej.

I pomyślała: jakiż on dziwny, ten pan brat Boguchwał.

Pirwsza w nim radość dobra, druga mądrość.
A choć uśmiechły we wnętrzu swojem, żartobliwy.
Owaciem rozmaitym rozumem rozumny.
I też umowny, wierny i prawdziwy.
Czy aby bogumiły?

Oczu w górę wznieść nie śmiejąc, cichutkie podała pytanie. A to prosząc, żeby jej jeszcze co nieco objawił o tej pannie Klarze, jąż nieraz w sennych zjawach widzi. Osobliwek jaka też wydawała się, będąc jeszcze w ziemskiem ciele swem.

Więc Boguchwał rozgwarzał, że już jej wtedy było przeszło roków sześćdziesiąt bez jednego. Stareńka wydawała się, malutka, jak łąteczka, ale zawdy uśmiechła, świegocąca. Też przypomniał, jak to sam święty ociec w otoku wielkich panów kardynałów podeszedł w osobie swej do tejże domku w Damjanie. I schorzałą dobrem słowem okładał. Potemuż stanowił nożynę w mięcieńkich jedwabiach na podstołek i dał, aby całowała.

Teraz mu mowa popłynęła z serca:

— Jam jest z tych, którzy słowa ostatnie błogosławionej słyszeli. Mamci je w sercu dotychmiast. O miłowaniu były. A najpierw cichutko wyrzekła: *Erat columna nostra.* A potem cichutko

wyrzekła: *Et unica post Deum consolatio* — i samą jedną był mi on okrom Boga żywiącego uciechą.

Więc ksieni:

— To zaś o panu Krzystusie mówiła?

A Boguchwał:

— Nie o Krzystusie, o Franciszku świętym!

Cunegundis myślała nieco.

— A toż nie miłowała go chyba sercem człowieczem?!

— Owoż i miłowała. Ale miłość owa była ponad przyrodzenie inszych białogłów. I też w sposobie wysokim. Tak iż...

Tu rozjaskrzony szukał długo słowa, któreby rzekł, zaczem krzyknął gorąco:

...iż samym jednym serafinom tak czuć dozwalam do Boga, jak ona tam czuła ku Franciszkowi.

Tu rad był powiedzieć wiele. O tem, jako ci dwoje w niebardzo wielkiem mieście Asyżu śniadali wespół na zielonej darni, i o tem, jak raz modlący się samotnie, ujrzeli schodzącego z niebios anioła o sześciu skrzydłach lśniących i ognistych, — aliści wyrazić nie zdołał.

A jeno dołożył:

— Tegom ja rzec nie godzien przed wami.

I nigdy nie wyprawię w słowie myśli mojej. Niech li wam starczy pisane.

I dał jej księgę, jąż przyniósł z sobą.

Była niewielka, z kart pergaminu uszyta, deszczkami dwiema zamkniona.

Więc tę księgę ozwarła w ciekawości wielkiej, gdy już spowiednik za progiem był.

Łyskotała barwami.

W obrzeżu karty pirwszej jakoby żmij błyszczący połyskał, który, bieżąc sposobem krętym między minuskuły drobniuchne, coraz to inny wydawał się. Raz jakoby listkiem kwiecia snuł się, a to kwiecie było czyrwone, indziej kolcem cierniowym kwitnął, a ten kolec złoty stał i świecący.

Wszystkim wzrokiem pozierała na te dziwności ksieni blaskooka. Poznawała, jakieby litery były, i składała je społem w słóweczka, próbując zrazu cichutko, potem głośniej a zwolna.

Rubinowe majuskuły mówiły głośno błyszcząc:

Vita sanctae Clarae virginis.

A drugie, czarne, maluśkie szepiutały ciszej za niemi:

auctore fratre Bogufalo Polono.

Cunegundis nie znała księgi takowej, jeden sam psałterz, stareńki i zbrukany w librarji swej mająca. Dziwne jej zdały się te barwy mocno błyszczące, nigdy widziane. I to, że je uczynił rękoma swyma ten pan brat Boguchwał.

O nim myślała, o pisarzu. Ileżby rozumów miał?... Owoż i w piśmie umiejący, i w słowach myśliwy, a też w stawianiu liter rozmaitych przebiegły. Tu czarnych, tam czyrwonych, tu złotych! I też znakomity w całym uczynku pisarskim, który osobliwie od Boga umiłowan jest.

Teraz o żywocie panny Klary czytała:

emicuit in vita!
post mortem radiat!
claruit in terra!
in coelo relucet.

Dźwięcząc słodko, upływały wymyślne słóweczka. A gdyż tak je k sobie doliczała, czytając głosem, wydało się jej, że nie ona, a ten, co rysował, czyta. I tak czuła, jakoby znowu mówił sam przed nią stojący w tym krągłym na krętowłosych kędziorkach mucecie, żółt od słonecznej gorącości i miłopłynny w swych uściech!...

Lica jej stanęły w różańcach, dziewczyńskich prawie, bo czuła w nich jakoby wejrzenie pana

Boguchwała; z między słówek księgi patrzył w nią, mądry.

W tęż chwilę poderwała się od stołu i ku żarom palowiska pobiegła.

Rozgarnęła popioły, ujęła głownię płonącą, tak chyba chcąca, aby sobie dawną mękę zadać pod ramieniem. Wierę inaksze pomyślenia w nią nadeszły, bo rzuciwszy ten żar gryzący, wróciła do stołu. Usiadła i dalej czytała. W księdze były najpirw niektóre słowa własne panny Klary, rozdane siostrom klaryssom, gdziekoli są i będą na świecie; te słowa od wielebnego ojca Waddingusa spisane w Damjanie:

„Abychcie córuchny moje, wszechwszędy i przez czas was wszystek żyły proste, śmierne, ubogie.

„Sicut ab initio conversionis nostrae edoctae fuimus a beato patre nostro Francisco“.

Tu czytająca łzą na twarzy spłynęła, piąstką piersi swe uderzając:

„...A która ksienią ostanie, upraszam, iżeżby była jako matka córkom swoim.

„Sicut mater erga filiolas suas.

„Nie z kaźni aby jej słuchały, a z umiłowania.

„...Zabiegliwa niech ku nim będzie, zawdy a zawdy dobruchna.

„I łagodna, i w sercu otwarta, iżeżby owszem bez lęku ukazywały przed nią potrzeby swoje.

„A coby im gorzkie być miało, ona niechaj w słodkie obraca“...

W wierzeje komnatki kołatano potrzykroć i weszła mocno karcermistrzyni Radocha.

Czyrwona, z kańczugiem w łapsku, sapiąca.

I pytała pokornie o pokutę dla sióstr na odwieczerz.

I łypała chciwie okiem, plag rozmierzanych nienasyta...

Przy stołku spowiednim chóru panieńskiego klęcząc, czyniła ksieni ducissa wypowiedź generalną z żywota swojego. Mówiła tam prawdę z serca i z ust, wszycienką. Rozpowiadała o tym Przeborze i o różnych pani Grzymiszynych uczynkach, i o troistych ślubinach czystoty. Też o tej chwili, w jąż dziwna pani Salome przybyła. I jako ją darmo ku świeckiemu dworu przyprawiali. A też o samotnym przez trzy dziesiątki lat żywocie i o pokutach, w każdy czas czynionych.

Konfessor słuchał dobrotliwie, łagodząc ręką kędziory szade swoje, i czoło pocierał jakoby w zgryzocie, i głową zaprzeczał, jakoby w sporze.

A kiedy zakończyła mówić prawdę swoją, milczał.

Pochwilek podjął:

— Rozmaitą przewinę widzę w żywocie waszym. Rozmaitą i ciężką, mało rzec: śmiertelną!

I tak był, jakoby nad tą przewiną dumał.

Zaraz spowiednica najczerwieńszym różańcem spłonęła.

— I też śmiertelną?! Gdzież zaś ona, gospodzie? Jażem jest grzechu śmiertelnego nieświadoma ni razu, a to przez żywot mój cały!

— A toż była ona i tej wam się w żalu kajać trzeba.

Więc stała się gorzka w słowach.

— ...Bo i któreż te grzeszenia moje, mówcie. Czyli te, żem od świata kwapiła, pawłoki drąca i bisiory, czyli te, żem ponęt świata cielesnego nie zaznała i nad przyrodzone prawo żywię, nie podług obyczaju. A to tak, jak owe cioty i przedbaby moje, w poczet niebieski posłane!

Wierę wymówcie, któraż przewina moja? Czyli ta, że siedmdziesiąt paciorków stawię Franciszkowi świętemu, a z wszech paznoktów moich rzuca się co niedzieli krew żywa, gorąca.

I też nie raz a po wiele razy pędziłam precz szatany! A chocia był ten, co mnie okiem kusił, sam hejtman piekielny z imienia Astaroth, aliści i jemu nie lza było dosiąc przenigdy czystoty ciała mojego.

Czyli tę winę dajecie mi, że w trojej czy-

stości wytrwałam jest, tak dziewczyńskiej, jak małżeńskiej, jak wdowiej? Ejże, panie bracie! Jażem władczynią księstwa obojego i ziemi polskiej całej teraz ostać mogła, a wżdy tu siedzę w zgryzocie, pilnie Panu robotująca.

Wymówcie, nuże, któraż z nich śmiertelna?...

Brat Boguchwał przymknął oboje oczu.

— ...W kwasie, w złości rozmaitej i w zgłobie bywał caluśki żywot wasz. A w tem grzech, że wy źle się modliliście, siostro!

Bo nie ten jest Franciscus święty, jemuż paciorki stawiacie, nie ten.

I nie ten pan Krzystus, krwawą chwalony udręką.

Też nie ta powinność człowiecza, jąć czynicie, nieszczęsna!

I głupi ten czart, z którym bojujecie, głupi!...

To mówiąc, w żadnem słowie nie wątpił.

A ta ksieni jakoby stoma kamienioma uderzona była, też jakoby żegawką pokrzywną skłuta, i zapiekłą, szydliwą boleścią bardzo potrząsana. I długo to zetrwało, nim zgłobę ową i nieśmiałość przemogła. Wtedy poderwała się z klęczek odmieniona: wpierw gorzka wydała się, teraz wyniosła, dumna.

I oko w oko konfessorowi temu patrząca, mówiła słowa żardkie:

— ...Uwłóczysz ty mi tą mową swoją! Owszejki słysz, że mi ta prawda twoja wątpliwa!

Nie Franciszkowi modlę ja, a komużby, hej? Owoż jemu samemu! Czy inak jawiłby mi się co nocy, a to tak ninie, jak wczora, jak zawczora? Tenże isty z rytego obrazku, ten, który w godzinę śmierci Salomy wszedł w komnatę i patrzył ku nam.

I nie ten czart prawdziwy, z nimże bojuję? Eja to! A któreż słówko czciłam stojące w tym waszym opuskule o pannie Klarze. Nie bojowałaż i ona?...

Tu Boguchwał:

— Słusza jest! Bojowała i też różnie wiem o tem. Było tak, że raz pokazał się jej pod postacią niejakiego chłopczyka murzyńskiego, a że spotkał ją płaczącą nad grzechoma swyma, więc rzecze: jakli tyle płakać będziesz, panno, oślepniesz, a wtedy cóż? Jemuż Klara na to: ejże nie frasuj się ty mną, ja ta nie oślepnę. Indziej podeszedł do niej w tę chwilę, kiedy szlochając nosek swój ucierała i prawi: nie płacz tyle, bo

ci krzywonos wyroście. A Klara: niech i wyroście, a ty odstąp, koli mówię!

Tu ksieni, a krzywo:

— Toż figlikowała z nim, strachu nie czująca?

— Czuła ona strach, czuła, ku inszemu djabłu ale...

— Ku któremuż?

— K temu, jenż w człowieku wszelknym siadł i knuje. Czart-stróż! Ten od wszyściuchnych, w jakiejby nie byli postawie, ważniejszy!

Więc Cunegundis:

— Mówiliście przeciw drapaniu. Tu zaś Hedvigis święta i Elżbieta święta przeciwność wam zadają. Nie drapałyż się one przez swój żywot cały, co?

A Boguchwał:

— Był wśród italskiej braci mniejszej Maciaszek, brat pewien, jenż udręczał nadto ciało swe. Raz pojawiła mu się przed oczy Matuchna Boża w osobie Swej, a z Nią wespołek przyszły trzy śliczne dziewice, niosące trzy koszyczki powidłek różanych o niezmiernej woni. I tak mu — sam prawił mi o tem w starości — rozdawały tych powidłek po trzykroć z pirwszego koszyczka,

z drugiego, z trzeciego. A to, aby się skrzepił w cielesnej krzywdzie swojej.

Ksieni, jakoby tej mowy nie uważająca, rzuciła znienagła blaskotem mocnym na konfessora, a z tych jej ocząt szmaragowych poszły odkosy błyszczące. I dufna zaczęła spór mówiony:

— A toż wiem teraz, że mdła mowa wasza, a prawda moja! Bo inak nie obłożyłby mnie pan Krzystus mocą pewną, za jąż wielbię Go codzień.

Brat Boguchwał spojrzał, widno nie świadom niczego.

A ona:

— Wierę słyszelichcie, co prawią o mnie?

— Jakżem mógł słyszeć, indziej bywszy, w okrajach?

— A wżdy i dzieciny małe gwarzą o tem w krainie wszystkiej, jako mi anioły wino słodkie nocami znoszą, i o tem jako ja chóry serafińskie słyszę śpiewające, a też o wierzejach kościelnych, jak się ozwarły, nie mówili wam, eh? I wiedzcie, panie bracie, że tak bywa. Też i znamiona mam. Mówią, że w samem jednem wejrzeniu mojem błogość siedzi zdrowiąca... A przeciw komu spojrzę źle, umiera śmiercią. Bywa tak. Ilkoraz zachcę czegoś w imię Boże, dzieje się!... A nieraz skroś

pól idąca czuję, jak zrzódło pod ziemią blaskoce, lub na obłokach dziwy... A też wiem w pomyśleniu swojem, kto zbawion, kto zaś piekłu przysądzony! Nikto z żywiących nie zdolen tego, a ja! Hedvigis pirwsza była, Salome wtóra, ja trzecia. Jam jest nad wszystko pokolenie swoje podwyższona. Tom tyle wyrobiła sobie za owe udręki, za żywot, przeciwek przyrodzeniu będący.

Mówiąc, jaśniała, ani do żalu, do kajania nieskora.

Brat Boguchwał słuchał, cały w wielkiej uwadze, i okładał ducissę spojrzeniem ostrem, nagabliwem, a to bez umysłu złego, jednostajnie.

I to jeszcze pospytał:

— A jakąż rzeczą stroicie wy te dziwy swoje, siostro?

Jemuż Cunegundis suchooka, dufna:

— Troją rzeczą: chceniem, myśleniem, wejrzeniem. Niechli jeno zachcę, a...

— I ta jest wasza pożądź nadnawyższa, to wasze miłowanie wielkie?

— Owo. Ta moja pożądź nadnawyższa i miłowanie pirwsze.

Boguchwał patrzył dobrze i patrzył łagodnie,

a też długo w myślach swoich szukał. Aż i znalazł, mówiąc:

— To, co powiem, z serca głębokiego mówię. I pod utratą zbawienia wiecznego powiadam. A też i oblicza panny Klary śmiertnego pamiętny. I na tę kordę braci mniejszej ślubiący. A oto mówię wam: ta pożądź wasza grzeszna, ciężkogrzeszna jest! Z niej szara pycha urodzona, która siedm córek ma i cztery osoby, a te są wszystkie grzechy śmiertelne. Bo przecz wy te swoje dziwy stroicie? Przetoż jedno, abychcie się nad insze powyższyli. Nie onci, nie nasz Franciscus tym sprawom oręduje!

Już też ducissie ksieni zdało się, że ma pod zawiciem w główce rozum nie ten swój, a inszy i zaćmiony. W gorzkiej krzywocie, w mątach szydliwych krzyczała:

— Otóż i krotofila, widoma krotofila! A chociabym i w grzech popadła, powiem: przy tobie głupstwo, nie przy mnie!

A ten Boguchwał nie rzekł nic, jeno wydobył z zanadrza membranulkę skórzaną, na której najpirwsze prawdy franciszkowe zapisane były; ucałował ją najgoręcej i czytał z niej jakoby sobie samemu:

„...I chociaby kto z braci mniejszej ślepym wzroki otwierał, chociaby słuch głuchym i krok chromym oddawał, gdyżby i czarta przepędzał a zmarłych od dniów czterech wskrzeszał — pomnij, bracie Leonie, iż nie ta jest jeszcze cnota doskonała!"

Odczytawszy, ucałował pisanie, schował je i słowem mówił:

— ...At i wytoczyło się! Wy siostro rzekliście do mnie wpierw, iże z wielkiego pokolenia jesteście. Z wielkiego, tak. Owaciem nie z Franciszkowego. Bo ten nasz Franciscus tak przykazuje do wyznawców swoich:

„Gdzieby nie podeszli bracia, niechże będą najmniejsi pośród bliźnich swoich. *Sint minores!*"

I to samo jedno mam, cobym wam rzekł: *sis minima!...*

Aże zemglała w oczach panna ksieni od zapalistej zgłoby swojej. I tyle wyrzuciła ze zgorzałych ust:

— *Sis minima!* Hach, a ktożeś to ty, mówiący?

— Nie pojmę, co prawicie.

— Ktoś jest, tak pytam, ktoś był w świeckim żywocie swoim?

Tym swoim dobrym uśmiechem znów się rozjaskrzył Boguchwał:

— Nie zawstydzę, a powiem. Wiadomo. Jam był ot hultaj, nieosiadły człek. A pospytajcie panów Szafrańców wielmożnych, powiedzą. U nich ja pieśni składał, z gęślą za grosz chodzący, igracz byłem, wesołek, szaławiła.

Ksieni oczka zmrużyła.

— A wiesz? Popalić stołki kazał król-ociec mój, gdy usiąść chcieli panowie węgrzyńscy w obliczu córy jego dziecinnej! I jaż to ninie o szarą pychę wołana? Która przed pieśniarzem kajam się w posłuchu, przed szaławiłą. Hej, jakaż druga uczyni w świecie cesarzówna?!

Potem dalej krzyczała ku bratu milczącemu:

— Hach! *Sis minima* — mówiliście, co się wykłada bądź namniejszą. I gdzież to u was takie ludzie namniejsze, któreż minimalne? Gdzież owe cnoty doskonałe? Czy te tu mnichy zbujane, mną codzień żywione, ten Jarnołt, ten Wawrzon i Polikarpus ten? Błogo mi tu, ha!

Odprawił cicho, jednostajnie:

— Nie wszyscy oni, alić jest jeden między bracią sądecką.

— Owa jest! Witaj mi to... I któryżby?

— Ten tam w okowach zamknięty.
— Pietrek? Bezkost djabłem opętan?
— Pietrek.
— A z między sióstr?
— Z między sióstr niżadna.
— Niżadna pośród wszystkich nas?
— Niżadna.

W rybniku klasztornym karpięta zimowały w ilości, a tak tam było, że ten stawek ciekącej wody w sobie nie miał i oddechu potrzebował. Więc zimą bracia służebni coraz musieli do przerębli, ze świdrem jedni, z okszami insi, i tę przerębel przerębowali, aby oddechu rybkom pozwalać. Bo inak nie zetrwają do przedwiośnia i poziębną. Jakoby ruszycą białą odzian, jaskrzał stawek ścięty i pokryty śniegiem, jegoż wydry nocą żerujące zamiatały ogonami swemi.

Rąbanej roboty dozierał Szczygiełek i Przytuła, patrząc, aby na bliską odwieczerz dokonana była.

Ale ci obaj myśli dobrej nie mieli w sobie.

— At, niech i poziębną karpiki, bo i tak zyz nam z tego. Któż powie, co z niemi będzie? A byłby syrmski fas wyborny za takie półkopy dwie.

— Ano to będzie, co se panna ksieni wyfiguruje. W jej chceniu klasztorek wszęlkny, to i karpięta. Wolno pani, jako pani. A cóż tamten? Kołatałeś doń?

Mówiąc, Boguchwała myślał.

— A jušci. Alić zawarł na łańcuch wierzeje.

— Wierę, już to czwarty dzionek, jak nie wyszedł on do nas.

— Le!... Chociaby i wyszedł, to nic. Nie wyśpiegujesz ty go! Które słowo powie, kręto mówi, a w uśmiechu. Ani on zły, ani hardosz, nie. Ale nie dojdziesz, gdzie mu zając wyskoczy. Zatrzaśnie jak nie bądź słówkiem figlackiem, a potem nuże prosić, a to utrzyj mu czernidła, a to czytaj z nim litery...

— Ile on zaś tych rozumów ma? Bo tak: ku rysowaniu pisma ma, ku składowi słówek ma, ku gwiazdom ma?

— Przenajgorzej, że i w prowincji twardo siadł. Próbował Jarnołt w Krakowie namawiać przeciw niemu, alić go wielebność sfuknęła, urwawszy. Et, głupiochmy to uczynili, jego ku pomocy myślący.

Na ścieżynce śniegowej skroś pola widny stał się zdala człek w kształtach nieco obfitych.

A to Tłustobrzuch był. Podbiegał rączo do rybnika, widno z wieścią idący. I wołał:

— Nowinka, otóż nowinka! Pietrek powrócił. Wypuściła go z żelazów.

— Pietrek? Czyż? Przeczże go wypuściła?

— Szukaj przyczyny! Chyba, że nas w nie pozamyka.

Tak Przytuła, a Szczygiełek:

— Iiich! Ja już nie zdzierzę. Żebych miał w karcer pójść, nie ostanę w rozrządzie tym.

I poziewał wściekłością.

Po śnieżystym zagonie sanice wielkie zakryte gnały przedsię od panieńskich chatynek. A pachoł szkapy naglił. Którego Wawrzon skrzyknie:

— A gdzież to, hej?

Przystanął i pozierali na obite łubą sanice.

— Dobrodzikę wiozę.

— Dobrodzikę? Którążby?

— A no oną grubego ciała, co poprzód przy habitach była.

Poznali, że to Radocha, karcermistrzyni. I dziwili się, gdzieby tak po śniegu jachała.

Więc ten pachoł:

— Do Skały posłana, w klasztorek, już tam i na pobyt.

I Przytuła:

— Jakieś to dziwy są! Radocha pokutę ustawiała. Widno, że już im kaźń odpuszczona. Bo też i nie piskają rankiem, jak przódy. Dziwne.

A Szczygiełek:

— Et, ostaw już to. Lepiej my z Boguchwałem próbujmy. Trzebaby mu wciąż a wciąż wezgłówko podkładać słowami. Możeby tak na wino chciał? Wicie, poślimy Polikarpa, niech siłuje o to...

Podczas ksieni ducissa zostawała w komnacie swojej. W zalęku wielkim żyła ona od dni trojga, zmącona, zmieniona, inşza!

Już i pokajała się, darmopycha.

I serce swoje uczyniła ku pokorze.

Zeznała hardość swoją, posłuszna.

I tak siostrom odpuściła jak sobie, utulna.

Duszny jad z niej odeszedł i mgła.

A to słowo Boguchwałowe było, które ją przekonało.

Ten ją ku Franciszkowi nawrócił i między duszą a ciałem mir uczynił.

Aliści zalęk czuła i w niejakiej rozpaczy żyła.

Kędy ukojenia szukać nie wiedziała.

Coraz łzy tocząca, w swoich myślach ustawnie szukała.

Bo stanął oto włodarz i natchniciel nad jej żywotem całym.

I pirwszy człek żywy ponad nią wyższy.

Poseł Franciszków, z krainy dalekiej.

Który powiedział jest: najmniejszą bądź! I też uczuła się taką w jego obliczu, najmniejszą.

Teraz poszła pytać o radę tych słówek, w księdze Boguchwałowej zapisanych. I czytała, aby z czytania wziąć ducha właściwego. Zawczoraj i wczora i ninie czytała. Już wypłonęło docna w komnacie pięć prątków owych, prze pamiątkę ran Zbawiciela płonących, ona zasię ustawnie nad stołem pochylała się, oczęta szmaragowe topiąca w każdym znaku barwistym.

A najpierw o tem, jak święty pan Franciscus, uchwycon sławą pobożnej panny Klary, zapragnął zyskać ją, iżby wespół Bogu służyli.

Visitabat ille istam, et saepius ista illum.

„Często też on ją nawiedzał, a częściej jego ona. A to było tajemnie.“

Tak czytającej raz boleść odchodziła, raz nadzieja wracała.

Na inszej karcie wyszukiwała:

Ista enim filia oboedientiae fuit.

„Ona bowiem córuchną posłuszną była, tak

ku Franciszkowi mówiąca: otożem, mój ojcze, gotowa powszędy i wszechwszędy iść, gdzie jeno posłać zechcesz mnie!“

Potem przyszedł jej na myśl ten skrzydlaty wykrzyk Boguchwała, gdy mówił: „A samym jednym serafinom tak czuć pozwalam do Boga, jako ona ku miłemu naszemu czuła!“

Wzięła inszą kartę pergaminku, gdzie stało, jak to panna Klara w dni troje po obłóczeniu precz odrzuciła znaki opacichy i między siostry zstąpiła jako równa...

I znów czytająca wróciła do liter uprzednich: *Visitabat ille istam, et istum illa.*

Tu zatrzasnęła deszczuły księgi cudnej. Powstawszy, odziała się kożuchem ciepłym i precz wyszła z komnaty. Podworcem szła po ziąbie do furty. Koło wrotniczki, koło zdziwionej przebiegła. Pchnąwszy, ozwarła i w pole zimne zdążała.

Na polu dymiło śniegiem sypkim. Kłujący powichr wiał ksieni ostro naprzeciw. Zrazu ścieżynką zasypaną mknęła, zaś potem skroś, przez półłany kmiece ozime, przez wągrody, posady klasztorne, pomiędzy chycze, w śniegu zgubione. Z nią wespół biegły lelejące tumany wichury. Daleko biegły, aż w same brackie chatynki.

Z dormitarza wychynął wciśnięty w kapicę Polikarpus i milczkiem kluczył ku siedzisku tego mędrka wszędobyła, raz jeszcze popróbować go chcący. Czarnośpiczasty na śniegowej bieli, sunął chybko przedsię.

Już ksieni nadybała chatynkę spowiednika. Zaskrzypiały zawory lodowate, weszła.

Z za węgła Polikarpus patrzył jadowity. Jak ciemny anioł przytulił się do bierwion i pozierał mocno, ile mógł, okiem zupełnem. Pod więzią dachu słomianego chatynki okienko było. Wyprężył chudą szyję wzwyż, mocno i najmocniej, jako ten rodzaj ptaszy, który zowią żóraw. I zachyciwszy ręką okapu, rad był podgląd uczynić. Aliści błonna zawora nie zezwoliła mu. Tego dla postąpił miękko ku drzwiom i wpełznął w przysień chąziebnie, cichutko. Stojąc tak w ćmach bezwidnych, swędrał nieco palcyma po deskach, aże tam szparkę wymacał. Do tejże przytknął zaraz oczko swoje wyłupiaste i gapił, ile można było. Potem ucha przykładał i znowuż oczko jedno i drugie na zmianę. Hnet ale odstąpił jakoby w strachu kogoś idącego i do braci biegł.

Cunegundis na pniaczku siadła, który jeden w chatynce był. Boguchwał przystanął sparty

o almarję, z tarcic ukleconą, jak zawsze uśmiechły w obliczu.

Siedząca pozierała na te opuskuły i pateryki, na księgi ciężkie, na czernidła pisarskie, na doniczki i spłachcie, kamieniem przyciśnięte. A to tak, aby oczu wzwyż nie podniosła.

Potemuż szepiutała ustą cichą:

— Bądź odtąd we mnie wszystko wedle słowa waszego.

Tyleż rzekła, a nie więcej.

Cicho było, tylko w palowisku igrały głownie dymiące.

Teraz, dobyła te znaki opacichy, co je z sobą przyniosła: był tam pierścień i ryte sigiłłum, znak mocy ksieńskiej nad klasztorem.

Pojął już, ale pytał jeszcze:

— Przeczże mi te oznaki wasze?

— Nie moje już. Od ninie siostram jest pospólna i równa jako inne.

Zaczem prosiła go, niech kanclerstwo klasztorku tego weźmie i rozrząd da mu wedle prawych pomyśleń braci mniejszej.

O tym rozrządzie więcej mowić jęła. Biadająca, że nad tymi braćmi ani mocy ani umysłu nie ma. Już też przykazała siostrom modły

codzienne odprawować, iżby Bóg dobry grzeszną ich zlubę odmienił. Więc o to pytała, jakoby ich na drogę franciszkową powrócić.

Boguchwał teraz:

— Nijako! Za pośmieć mam tę brać całą. Złaja to. I też *beatus pater* nasz tak o niej trzymał, nie chcący, iżby obłojów w habit osnuwać. Nie stąd dla chwały Bożej pożytek i nie ten był umysł Franciszkowy.

— Jakiż zaś?

— Ażeby wszystkie ludzie w sercu naprawić i uciszyć i w pospólne dać przyjacielstwo. Nie te są klasztorki franciszkowe, a owa regułka wasza fałeszna i docna odmieniona przez tych wielkich panów kardynałów.

Cichutko, pokornie jęła bywsza ksieni ducissa upraszać brata Boguchwała, aby nie wydwarzał przeciwek tym panom kardynałom przed nią, której pod przewiną grzechu nie lza wysłuchać tego. I spytała tylko:

— Lecz jak tę brać przemienić?

— Jak? Precz dać, ku wiatrom!

— A któż oficja śpiewać będzie w nieszporach?

— Któżby?...

Rzekł i popatrzył.

— — —

Chełtający kapicą, biegł Polikarp ku braci, a ręce swe tarł. Nie z ziąbu tarł, a z pociechy. I zaraz prezbiterów w kąt jeden skrzyknął ku sobie, gdzie tak rozpoczął:

— Ilkoście to rozliczyli tych rozumów pana Boguchwałowych?

Sfukali go.

— Krętu, wętu dla zakrętu. Cóż nam one? Sześć ich było.

— Owoż powiem wam, że on i siódmy rozum ma!

Tu rozpowiedział, co widział. Ażci w skok poszli bracia z tej nowiny słyszanej.

— Ops! ops! Witaj nam to!

— Tożci słodziuszek!

— Lele, dochcipny peregrinus!

— Aż i zmrugał się gallicus z hungarą!

— Jakiejby cięższej szukać przewiny, niemasz.

Mówiąc kładli potwarze i osławę, aż im Jarnołt przerwał te pociechy:

— Teraz nam dojść potrza, co tam oni oboje pod cieniem rozmówek duchownych czynią.

A Polikarpus:

— Czynią, czyli nie czynią, nie wiem, ale mój łeb w tem, że ta krzykwa jęta będzie i karcermistrzom dana. A przeto gonta z nieba nie spadnie, nie...

Od ośmiu niedziel prawie siedział tam w Sączu kantor pewien z Krakowa, choć stareńki, ale pracujący w żmudzie, aby siostrzyczki mniejsze *ad primum cantum* przysposobił. A to było w cichości wielkiej. Miał on tam z sobą rozliczne sprzęty gędziebne, któremi głosek siestrzyński do śpiewu ustawiał.

Zrazu deszczynkę ujął, a z tej deszczynki rozmaite dzwoneczki i dzwonki zwisały: maluśki, mniejszy, większy i inne takie. Te dzwoneczki uderzał pałeczką w porządku, pannom zasię kazał piskać wedle. I tak było: wedle maluśkiego dzwonka Jachna śpiewała dokładnie a też słodziutko i Hanka druga słodkokwilnie. Wedle większych śpiewały Ofka, Mrochna i Krajna: cienko, grubo i średnio, jako zależy. Częstobronka piała twardo, jak surma, chwalebnie.

Potem je ten kantor na piszczałce próbował.

Porówni opiewały za nią głosem zupełnym. A tak wszystkie w chóralistki zaliczone były.

Staruch ćwiczący ustawnie to jeszcze wyjaśnił, jak te głosy osobne w zgodnym dźwięku pojednać, iżby stał się pospólny, jakoby z jednego gardziołka idący.

Więc je rozstawił na dwie strony w komnacie.

Jednym kazał cienko piskać, a to będzie dyskantus.

Inszym nierychło, smętnie, a to będzie górogłos.

Mrochna, Jachna i Ofka dyskantem wypuszczały.

Częstobronka, Hanka i Krajna opiewały górogłosem.

Rychło też pojęły, coby antyfona była, którą macie piać sztucznie, naprzemianę to w jednym to w drugim zespole. Te poprzód, te za niemi, równiutko.

Po kantorze ksieni ducissa wzięła siostry swoje w dobrą i ustawną stróżę. Z psałterza swego, z łacińskiego wrażała im w pamięć wokabuły mądre, te, które do nony, do prymy i matutiny przydatne; które „kirlesz“ jest i jako piskać wzwyż i wzniż to słóweczko krótkie: „alleluja“.

I tłumaczyła słowem przyjemnem, co z tego. Żeby pilnie robotowały w rzeczy owej!

— Bo ten wasz przyśpiew ku gwiazdom popłynący będzie. I staniecie jakoby druchny serafinów, aniołów świętych! I też wywyższą was te pienia! I też polepszą!

Czuły siostrzyce podsytę duchową, od rozśpiewu idącą, i pełniły w pokwapie kaźń tej ksieni dobruchnej i kaźń kantora starego.

On zasię stanął przy pulpicie z laszczką i pergaminkiem w ręku.

Na pergaminku linijki były czyrwone, napozdłuż po pięcioro w rządku. A na tych linjach czyrwonych i pomiędzy siedziały tam i sam czarne kostki, większe i mniejsze. Kantor mówił, że te większe „gółki“ są, a te mniejsze „ognatki“. Wedle tych gółek i ognatek kazał głosu dobywać. Owoż i dobywały!

A tak i w psalterji rozumne stały się i w kantyku, a też i do śpiewomszy z okrasą gotowe, gdybyż tylko lza im było głosem śpiewać w kościele!...

Brat Boguchwał, rad w sercu swojem, podsycał siostrę Cunegundis w tym uczynku żmudnym, przydatnym. Boć dotychmiast krzywota polskim kla-

ryssom dzieje się i nieme siedzą w kościółku. Wierę insze śpiewają: w Damjanie śpiewają i Bolonji, w Niemcach i w gallickich krainach, powszędy. Niechże i sądeckie naumiałe będą, *cantantes!* Wtedyć pójdzie z klasztoru prośba do prowincji, aby brać zbyteczna precz oddalona była. A tak domek ten w spokoju ostanie bez skazy! Więc pytał Boguchwał bywszą ksienię, czyli pilnie się uczą tych świętych, króla Dawidowych kantyków, i czy rada jest temu śpiewnemu tonowi, jenż rozjaśnił klasztorek powszędy.

Dała mu słuszność najgorętszą, ale widno coś w myślach chowała jeszcze. Coby chowała, pytał.

Więc Cunegundis:

— Owoż nie wiem. I chciałabych rzec przed wami i nie lza mi. Te tam kantyki z psalterji cudne są. Cudne, święte i regułce powinne. Alić nie te... Bo mowa ich jakoby umarła. Inszej chciałabych!... Jąż piałyby siostry moje. Chciałabych — pieśni...

Boguchwał, nie mówiąc, uskoczył najradośniej i rączo grzebał w librarji swojej.

— A toż dam wam, dam, pienia najprzedniejsze wynajdę...

I dobywał z deszczek różne opuskuły śpiewalne. Były tam wszelkie sekwencje Balbulusa, i świetnodźwięczne hymny Adama Victora, i wymyślne jubilacje w neumach ułożone, i pienia ambrozjańskie, i *historiae rythmatae*, a też bolesna „Passio S. Adalberti Martyris“, a też i antyfona o św. Hedwidze z Trzebnicy.

Ale na dziwy, nie była wśród nich wszystkich ni jedna, którejby chciała Cunegundis.

Boguchwał nie pojmował:

— A toż śpiewalnej pieśni chcecie i chórowej? Owszejki są tu różnodziwne.

A Cunegundis w ogniach:

— ...Inszej mi potrza... inszej chciałabych.

Nie aby w twardą uwięź łaciny schowana była, nie!

Z mowy żywiącej niech będzie, z niniejszej pospolitej mowy naszej.

Niechby ją siostry moje nie z pergaminku piały, a z serca.

Które, słów nie pojmując, sucho pieją z psalterji.

A ma być ta pieśń z tej ziemi urodzona od nas, od nikogo inszego, pierwsza Bogu śpiewana!...

A tamten mocno zdziwiony:

— Coże to? Wierę kantyku wulgarnego chcielibyście? Śpiewek?

— Owoż.

— A toż śmiałość, wielika śmiałość! Chórom kościelnym chcecie przyzwolić śpiewki wulgarnej? I tak myślę, siostro, żeby wam tego w prowincji nie odpuścili. A też powiem, że i panna Klara święta sama jedną psalterję łacińską śpiewała z dziewicoma swyma.

— ...Jakąż zaś ta jest, którą po dziesiątraz na dzień odprawiacie. Ta „słoneczna“? Takiej pragnę.

Któraby w słówku polskiem wyobrażona była.

W temże, twardo dźwięcznem, krzywogłowem słówku.

I w naszej mowy szyk ułożona, aby przez nie, przez słówka, dosiąc mogła powszędy.

Niechta ją nawet pachoł klasztorski posłyszy i pojmie...

Boguchwał poszerzał oczy swoje zdumiałe. I patrzył na mówiącą, tak jako nigdy wpierw. Wzruszyła mu w sercu myśli najtajniejsze, w głębi zakopane.

Ducissa dalej wołała:

— ...Niech ją i siostra pojmie, i służebna. I też ten Pietrek umarlina. Niech do maluśkich

w oddal bieży, do bosych, do kmiecych chycz i włókitów, którzy pojmą słowem i sercem, pochwycą tę pieśń, z tejże co oni ziemi urodzoną.

Wy zaś mi ją złożycie w cudnem słóweczku, nikto a wy, bracie Boguchwale!...

Jemu zaś, na dziwy, oczy łzą zaszły i tak szepiutał:

— Ja miałbych, ja... Tenże isty, który wpierw w tym szyku składałem fryjowne śpiewanki i wiły łaskotliwe. Czyliżem godzien tylko — myślicie?

Tem swojem okiem szmaragowem spojrzała Cunegundis prosto w oczy Boguchwała. I już w porozumieniu zbieżeli się oboje.

Ażeśmy nie winowaci są, na to i przysięgę damy tu zaraz do rąk wielebności waszej!

...Tak oni wołali, Jarnołt i Szczygieł z Polikarpusem, w strachu, w okropliwym trzęsący, pokuleni.

Bo tak im przyszło, że przed sądem srogim stali. A ten sąd w dormitarzu odprawiał się.

Z Krakowa zjechał na klasztor wielebny inkwizytor prowincji.

K niemu teraz wołali i prosili się.

A ta przewielebność nie powiadała nic. Ino głęboko siedziała w obfitej kapicy swojej, zmrużywszy oczy świdrujące, złożywszy ręce twardopalce. Pyłgocąc, poglądali braciszkowie na stolec karzący, kędy błyszczała ciężka w klamrach i zawiasach ewangelja i rejestry przysiężne, i haniebne szyjnice z konopi, i kłódki do ukarania wolności, i goły miecz, gdyby kto ostał w głowie winowaty.

A to klasztorek panieński był, jenż pozywał tę brać niedobrą przed duchowny sąd, prosząc wyroku w gorącej potrzebie.

O sromotę pozywał, o niecną osławę i naśmiewisko. Użalał się i zaszczyty szukał.

Bo tak zdarzyło się, że ci bracia w dzień święta wielikiego zerwali ofiarę mszalną w ołtarzu i ostawili w grzechy siostry niewinne, a to był grzech niewysłuchanej ofiary.

Zaraz przewielebny inkwizytor do opytek wziął się i skrzyknął, który winę czuje?

Wtedy Jarnołt postąpił, rzekąc: otom jest!

Zaraz rozkazane mu było, aby wyznał jak stało.

Wyznawał, że tak było. W owe święto wielikie, gdyż na półzegarzu chwila trzecia była, wyszedł on w ołtarz ze śpiewomszą, jako należy. W panieńskim chórze siostry szepiutały, w brackim śpiewakowie odpiać mieli hymny niejakie, odpowiednie. Na kościele prezbiterowie siedzieli w stołkach; służebni bracia w okręgu ze świecami modlili. A to było najpobożniej: Bogu na chwałę, czartu na pohybę, klasztorowi temu w użytek.

W tęż to chwilę, gdy śpiewakowie w hymn uderzyć mieli, stanęła gańba niesłychana. Z chóru

panieńskiego rozruch poszedł, a za rozruchem śpiew. Które milczkiem siedzieć powinny, piały! Które cichcem paciorki mruczeć, gardłem śpiewały! Bez znaku uprzedniego, we dwunaście głosów w antyfonie, przeciwek słowom Pawła apostoła, przeciwek regułce mniejszej grzeszące. A bywsza ksieni i ducissa z niemi tak samo wraz!

— Kiedym to usłyszał jest, — tak Jarnołt wyznawał — zerwę ofiarę i precz uciekłem w obawie grzechu. Abym nie pogrzeszył, słuchający kantyku wulgarnego. Wierę inna rzecz też sromotna stała się i haniebna...

Nie wiedzieć, jaki Jarnołt zamysł w tem słówku miał. On zasię już zaczął jawną bitwą walczyć i wydał z ust krzywe świadectwo. A to przeto, aby stoczył winę swą i zasłonił lichotę, i też, ażeby był pohańbicielem bywszej ducissy, ninie pokornej siostry Cunegundis.

Więc tak wołał ten chytrus:

— Wydajcie osąd, wielebności wasza! Abowiem w plugastwo popadł klasztor ten. I żywie między nami nieczysty anioł w ukryciu! Bo tak wszyscy wiemy i świadczymy, jako ten pan brat Boguchwał, z okrajów inszych przybyły — fryjerz

tajemny jest. I słusza, aby jęty był i winą potępiony!

Słowem rażona przewielebność poruszyła się i słuchała pilnie.

A Jarnołt mocy nabrał:

— Onci to z niektórą Bogu ślubioną siostrzycą usta w usta rozgwarza; w księgach potajemnie czyta i kantyki wulgarne składa. A ta siostra Cunegundis jest z imienia swego!

Na tem zamknął i dodał, że na insze brat Polikarpus rękojmię da, aby prawda wątpliwości nie miała. I hnet Polikarp wystąpił. Jakoś on ninie mdło pozierał i nieco podciepnie, w obliczu swojem zmięty i żółt, jako figa dławiona. Owszejki błyszczał jadem i chytrością.

Przewielebność pytała go nagabliwie.

Wypowiedział, jako okiem własnem widział pannę ksienię do Boguchwałowej chaty wchodzącą, którzy tam oboje grzech wspólny uczynili.

A przewielebność:

— Azali przysięgniesz na tę ewangelję Bogu jedynemu, iżeś ich widział czyniących?

Zmętlił się chytrus, ale wysupłał:

— Jako widziałem, przysięgnę!...

Podsunięta mu była księga od klamer i za-

wiasów ciężka. Złożył tam dwa praworęczne paluchy i powtarzał:

— *Sic me magnipotens Deus adiuvat!*

I zaraz dołożył:

— A jeśli raczycie, to i w tęż chwilę ułapić możemy tę siostrę na sekretnym pogwarku z gallicusem!

Brat inkwizytor spojrzał się, pomyślał i przyklasnął.

Poszli zaraz, aby ją ułapić: wielebny sędzia, z nim przeor i Polikarpus.

We ćmach bieżeli, w zupełnych, człapiąc haniebnie po wiosennych roztopach, po łachwach pola roztajanego. A gdyż chatynki panien bliskie im były, przycichli.

Jakoby obrzezani żydowie, którzy nocą brata swego uświerkłego wloką, aby go pogrześć w kirkucie i patrzą w strachu przeciwności od żaczków niemiłościwych, tak oni postępowali, chąziebni, przyczajeni, bezgłośni.

Ten jeden, jenż tam mocen był wnijść, inkwizytor, pierwszy, z urzędu swego próg przestąpił. I znagła przypadłszy, we wierzeje kułakiem uderzył, raz, wtóry i trzeci. Na nic. Zaparł się mocno, sapnął, wyłomił łańcuchy. Wszedł.

A wtedy stała się rzecz wielika i dziwna!

Z komnaty wypadł i postąpił ku nim blask... I całą przysień zagarnęła powszędy jasnota nieogarniona, nieogarniona!

Lepiona komnata płonęła zgorzelą ognia błyszczącego i jaśniej tam w niej pokazywało się nad dzień biały.

A szły te poblaski wszystkie od srebrnej figurki świętego Franciszka, która tam była w ołtarzyku.

Wielikie poblaski z figurynki maluśkiej, z niej jednej.

Jakoby w złocie roztopniona, w srebrze rozjarzona, wydawała odwszędy blaski, a ze srebrnego serca płynęło ich najwięcej!

W klęczkach u stóp ołtarzyka klęczała wmodlona Cunegundis.

W jasność świetlistą spowita, jakoby w swojerz biały.

Ta, jąż w osławę i potwarz przyoblec chcieli!

Z srebrnego serca strugałki wynikały k niej te promienie naprost i do głowy rozwitej płynęły. Jedne, drugie, nieustanne.

I kręgiem ją opływały, zbiegając się nad włosami w koło jedno, jasnogorące i złote.

W tejże jasnocie, w tejże światłości klęczała. Nie było widać oczu, nie było widać lic. Jeno jakoby jej ten pan blaskotwórca promion swoich użyczał i na nią otęcze swoje kładł.

Srebrna była i złota, błogowonna i biała.

Chyba i mówić tam do niej musiał święty śpiewak z ołtarzyka, bo mu co nieco odpowiadała głosem.

Cała w różańcach, w posłuchu, w zaświecie. Dzięki czyniąca. Nawszerz blaskomiotna.

Jakoby zaświat daleki odpoczywał nad nią.

— — —

A ta przemoc świetlista potępiła trzech braci, u przydźwierza stojących.

Zatrzasnęła ich oczy, przeraziła ich myśli.

Inkwizytor wielebny dłonią nakrywał wielmożne oczka swoje.

Omamiony, zgłupiały patrzył w dół Jarnołt.

Blasku strzymać nie mogąc, rozpostarty padł o ziem Polikarpus.

Ani skomlił, ani rzężał — krom plamy, krom znaku i poruszenia, padł już nieżywy.

Widno tem srebrnem powietrzem zabit i tym promieniem gorącym, który z serca dobrego ku niemiłościwemu wpadł...

W dniu wiosnym działo się, w czas siejby lnu. W zielonej postawie stanęła klasztorna posada. Na półłanach, na kmiecych usiadła wiosna, dobra macierz kwiatuszkom, i wywoływała na ziem zawilce, przylaszczki i trawy.

U niebieskich bierzm wisiały obłoki, rade słońcu już prawie ostatniemu.

Z kościołka sądeckiego wybiegł w pole śpiew.

Nie ten zwyczajny, nieszporny — inszy śpiew.

Wiotki był, wysmukły, ptaszęcy, pierworodny był, panieński.

Z chóru wybiegłszy, poszerzał się.

Przez rozwarte wierzeje uchodził w pole.

I piął się wzwyż ku węziom dachowym, zdziwionym.

Jak płowe pierwiośnię, z śniegu wyjrzałe, rozkwitała w tym śpiewie — pieśń...

Błoga, swadziebna, pierwsza pieśń tym cudem świetlnym ducissy pozwolona, z tego cudu wynikła.

Nie z pergaminków zgrzybiałych, — z mowy żywiącej pospolitej, polskiej wysnuta.

Po krzach rozkwitłych przyklasztornych i dalej po zielonej przestrzeni wiosnego dnia ganiały się słówka - motylki:

Zdrowaś — gwiazdo — morska
Uliczko — niebieska...

Jako wietrzyk majowy lelejała nieco, znów jak wichrek szumiący chełściła skroś gałązek, sama zdziwiona tym swoim składem nowotnym:

Rozwiąż — zawiązane —
Oświeć — zaślepione —
Odpędź — nasze — złości...

Truchlutka zrazu, potężniała potem; już szumna, już pełnym wichrem wiejąca:

Tyś — radość — anielskich — chorów
I — świętość — niebieskich — zborów
Tyś — uciecha — wszego — świata
Tyś — ustałych — moc — i — siła...

W nadszczyty biegła, ku gwiazdom, na łany pola niebieskiego, wysoko.

I zasłyszeli ją wszyscy, których chciała Cunegundis.

A też pachoły i włókity bose.

A też dzwonyszki kwiatki i na siedlach leśnych ptaszynki.

A też gadziny lotne, pływające.

Abowiem z ziemi swojej, z mowy żywej szła!

Przetoż radowała się.

I był w niej, w tej pieśni jakoby śpiew triumfu chwalebnego, był wykrzyk żywota rozgłośny.

Ku pokoleniom dalekim kędyś biegł, w czasy inne, przyjdące. Bieżąc tężał, wzmagał moc i rósł — aby ziemi na siłę, aby mowie na zetrwanie.

W chórze panieńskim, w wieńcu sióstr śpiewających klęczała w tęż to chwilę bywsza ksieniducissa i na dal wiekową posyłała myśli.

W tęż to chwilę nieszporną szedł człek niejaki w kapicy. W okraje dalekie odchodził. A to był pan brat Boguchwał, tej pieśni twórca.

DRUKARNIA OSSOLINEUM LWÓW